№ 32. Warszawa, dnia 30 Lipca (11 Sierpnia) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

LITERATURA CZESKA.

Napisał

Wiktor Czajewski.

(Dalszy ciąg.)

Postąpienie to Riegra zraziło niektóre umysły do niego, a nienawiść zawiązywała się w kole sfer wyżej ukształconych coraz więcej. Miarkę te przepełniły rozruchy sąsiedzkie w 1863 roku. Młodzi współpracownicy „Narodnich listów” z zapałem odzywali się o nich, a pisząc długie fejletony okazywali współczucie dla braci. Riegier i Palacki byli przeciwni temu. Oni pragnęli być neutralnymi i sprawy te okrywać milczeniem.

Ztąd wynikła silna burza pomiędzy młodymi i starymi, tak, że Palacki i Rieger zmuszeni byli wystąpić z „Narodnich listów” i założyć sobie inny organ „Narad”, gdzie długo jeszcze toczyła się zajadła polemika. Ztąd też powstało stronnictwo młodych i starych w Czechach, datujące po dziś dzień swoje istnienie. Z walki tej wynikło, że przy młodych pozostały „Narodné listy” drugich organem stał się dzisiejszy „Pokrok”, gdyż dla uśmierzenia krzyków i polemiki „Narad” wkrótce został zamkniętym.

To co zaszło w dziedzinie, a raczej w świecie literackim nie odbiło się bynajmniej o naród, który jak czcił i kochał, tak i dalej kocha i uwielbia Riegra jako swego przewódce, załatwiającego wszelkie sprawy narodu najlepiej. I tak potrzeba było teatru Riegier wyrobił konieczne sumy i w sześć miesięcy za 100,000 złotych reńskich dźwignął gmach zimowy. On w 1866 roku pierwszy podniósł myśl, aby przed zbliżającym się Prusakiem Czechy ustanowiły ziemskiego marszałka, któryby wszystkie pieniądze wywiózł z Pragi, gdzie dalej na prowincye. Tak się też stało.

Głos ten podobał się publiczności, która obdarzyła wnioskodawcę swojem zaufaniem. W parę dni potem Rieger zabrał z Pragi wszystkie księgi i listy hypoteczne, zasoby „Macierzy czeskiej” i „Svetoboru” i najpierw do Pilzna potem do Lincu je odwiózł. Słowem zawsze i wszędzie umiał Rieger być czynnym, za co mu się naród odwdzięczał.

Podczas wojny pruskiej, Praga została zajęta przez wojska okupacyjne, znowu groźne chmury zbierały się nad horyzontem piśmienniczym. Rząd pruski zabronił wszelkich wydawnictw, albo zażądał zaświadczenia od jednego z obywateli, że prasa niebędzie nic przeciwko wojskom okupacyjnym pisać. Na tę honorową posadę zbrakło amatora i pewnie znów by zastój w piśmiennictwie zapanował, gdyby Józef Barak dzisiejszy redaktor „Narodnich listów” nie podjął się tego, ofiarując się w zupełności na te usługi nieprzyjemne, a jednak konieczne. I tak szło dalej wszystko w należytym porządku, aż do skończenia tej dosyć krótkiej wojny, za którą tyle zapłaciła Austrya.

Po zawarciu pokoju Rieger wystąpił wraz z 80 innymi Czechami powtórnie ze swoją deklaracyą do rządu, gdzie ostro narysowany był program narodu Czeskiego, który od innych krajów rzeszy był więcej pokrzywdzony i upośledzony. W tej deklaracyi żądano sprawiedliwości. Ale napróżno, bo ją w Wiedniu odrzucono, a nawet czas jakiś powstały znaczne nieporozumienia między Pragą a stolicą austryacką.

Następstwem tych sporów była owa pamiętna wyprawa Czechów na wystawę etnograficzną do Moskwy. Był to jedynie krok polityczny, którym Czesi chcieli zaszachować Austryą. Ale Rossya jak przyjęła Czechów gościnnie, tak z drugiej strony nie myślała dla nich narażać spokoju i zrywać pokojową politykę z sąsiedniem państwem.

To co zaszło w Rossyi podczas wystawy, dało tylko powód do licznych odwiedzin Pragi przez panslawistów rossyjskich. Pogodin i inni przyjaciele Słowian, a raczej samolubni miłośnicy swoich wymarzonych idei, na przemian przybywali tu ze słowem pociechy i nadziei.

Obiecywano Czechom, jak i innym narodom złote góry, obiecywano więcej jeszcze, aby tylko pozyskać hołdowników swojej idei. Wszystko to jednak były tylko same obietnice.

Bądź co bądź, długo jeszcze ta panslawistyczna idea objała się w Czechach, a z najsilniejszymi przewódcami nieustanie korespondowali rossyjscy panslawiści.

Po francuzko niemieckiej kampanii dopiero Czesi przekonali się najlepiej jak rzeczywiście zgodnie z ich prawdziwym interesem stoją, i jak w 1870 roku odpowiedziano na propozycye rządu austryackiego odpornie, tak w 1871 roku przystąpiono do ściślejszych układów i porozumień. Rozczarowanie więc było prędkie, gdyż widzimy, że dla zbadania pretensyi Czeskich rząd wydelegował Potockiego do Pragi, który wszelkiemi siłami starał się na korzyść Czechów przeprowadzić swoją misyę polityczną.

Ale usiłowania i dobre chęci Potockiego nie znalazły uznania w partyi starszych dla dwóch powodów, a mianowicie: było jeszcze za wcześnie, powtóre, że starzy starali się wszelkiemi siłami wciągnąć do swego kółka zniemczałą szlachtę, jako posiadaczy znaczniejszych majątków w Czechach.

Dopiero dwunastego września 1871 roku, po ukończeniu narad Riegra i hrabiego Jędrzeja Clam Martinica z Hohenwartem, wysłańcem rzą-

dowym, przyjęty został reskrypt Riegra, w którym przedstawioną była kwestya, jakiem sposobem możnaby z rzeszą połączyć państwo czeskie. Dla jaśniejszego rozwinięcia tego reskryptu, została utworzoną komisya z Riegrem i Jędrzejem Clam Martinicem na czele, która skreśliwszy prawne paragrafy, podała je radzie.

Rada przyjęła ten projekt dnia 30 października tegoż roku, za co klub czeski obydwu przewodniczącym złożył adres uznania. Ośmdziesięciu dwóch posłów czeskich, jak już oddawna żądała partya młodsza, wstąpiło do sejmu w 1872 roku. Odtąd też Rieger zajął znaczne i niezachwiane stanowisko.

Raz jeszcze zaszła znaczna opozycya w życiu tego człowieka. Było to w 1874 roku, kiedy bój wszczął się na nowo między młodymi i starymi, ale i z tej walki Rieger wychodzi zwycięzko, otrzymując głosy wszystkich towarzystw i korporacyi. Człowiek ten odegrał ważną rolę w swojem społeczeństwie i jak widzimy ma on znaczny wpływ nie tylko na polityczne, ale i literackie stosunki czeskie, tak dalece, że w 1875 roku obwołano go prezesem „Svetoboru” klubu literackiego, który rozporządza znacznemi funduszami.

Podczas pobytu jego w Paryżu w 1875 roku „René Taillandier” i „Revue des deux Mondes” poświęciły mu szereg artykułów.

Rieger do dziś nie przestaje być czynnym, lat temu sześć zwołał do Malcu Czeskich i Morawskich posłów, aby dla obrony własnych interesów zawiązać między nimi ściślejsze węzły.

Słowem czynność jego z każdym rokiem się potęguje, a znaczenie u narodu rośnie.

Jubileusz Kraszewskiego w Krakowie, potem trzeci zjazd lekarzy i przyrodników tamże, zawiązał nowe stosunki. Czesi zaczęli się zbliżać do pobratymców dawniej lekceważonych, a zjazd w Pradze powiódł się nadspodziewanie. W inauguracyjnej mowie Rieger wypowiedział swój sąd nowy i świeży.

Dawne przekonania zostały zatarte. Na pierwszy plan wystąpił uniwersytet o dwóch wydziałach filozoficznym i prawniczym, który Czesi poparci głosami polskiemi w radzie państwa otrzymali.

I teraz ów naród, któremu wydarto wszystko co stanowi treść moralną każdej społeczności, jego żywot i duszę, przeszłość i przyszłość, pamięć i nadzieję, ów naród, którego starsze pokolenie jeszcze mówi po niemiecku, bo go tak nauczono, dziś ożył i niemal zmartwychwstał! Przeszedł on długą ogniową próbę, przetrzymał ją, rdza zjadła co było złe i słabe, pozostały tylko najlepsze i najsilniejsze cząstki zahartowane i twarde. Nie zegną się więc tak łatwo, jak kiedyś, nie upadną, bo wiedzie ich wyższy cel, wyższa idea, a tą jest praca i wiedza! Są to najpewniejsze skrzydła, które przy wytrwałości nigdy nie zawiodą, a że ta wytrwałość jest, że ona wraz z wiedzą i szczeremi chęciami przyświeca Czechom o tem wątpić nie możemy.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli możemy wnosić, że literatura czeska od roku 1848 zupełnie inaczej się rozwijała, jak wszystkie inne nowożytne literatury europejskie.

Wiemy dobrze, iż język czeski w tych czasach upadł zupełnie, że mieszczaństwo czeskie zniemczyło się tak dalece, iż jeden z czeskich uczonych nie wahał się wypowiedzieć zdania „dajmy pokój martwym”, wiemy dobrze, że już od dawna Czesi czeskiej szlachty nie mają, a w 1848 roku, ani szlachty, ani inteligencyi już nie było. Wskrzeszona więc literatura przez kilku gorliwych patryotów, potrzebowała społeczeństwa na którem mogłaby się oprzeć, czyli czytelników, którzyby przyjęli te rodzime usiłowania. Jednakże pomimo silnych zabiegów, mieszczaństwo pozostało głuchem i nie dało się tak łatwo zwrócić na tę szczęśliwą i godną pochwały drogę. Profesorowie i urzędnicy po większej części byli to Niemcy lub Czesi, którzy jeszcze w pedanteryi przewyższyli swoich mistrzów.

Gdzieniegdzie zaledwie znalazł się człowiek, który swem gorącem sercem i ojcowskiem uczuciem ogrzewał oddaną mu pod opiekę młodzież. I to był wpływ pierwszy i najsilniejszy.

I jakaż była ta młodzież? Kto jej rodzice i jacy to jej opiekuni?

Młodzież ta wyszła po większej części z wioski, ztąd właśnie, gdzie tlało jeszcze uczucie patryotyzmu i narodowości, gdzie szanowano swój język przeszłość i ojczyznę. Na tym więc ludzie oparła się cała nowa cywilizacya i literatura, z tego ludu wyszli ci bohaterzy i przewodnicy narodu, na których czele po śmierci Palackiego stanął syn młynarski Riegier i wielu jemu podobnych. Tak więc wzrosło nowe pokolenie dzisiejszych doktorów wszech nauk, profesorów i nauczycieli, którzy stworzyli odrębny i nowy świat czeski i odbudowali społeczeństwo. Jeżeli więc całe odrodzenie wzrosło na barkach ludu niezawodnie i cała literatura musiała jedynie wzrastać na tejże samej glebie. I rzeczywiście nie omylimy się, gdy po kolei wykażemy te jej postępy i rozwój czysto ludowy, czego nie znajdziemy w innych nowożytnych literaturach, a chociaż pierwotne koło czytelników, składające się przeważnie z ludu wiejskiego, ze średniem a raczej ogólnem wykształceniem, a tem samem i ze skromnemi wymaganiami z każdym rokiem dojrzewało i powiększało swój inteligentny ogół jednostkami świeżo dojrzewającemi, to jednakże przeważna część czytelników nie przestawała żądać rzeczy dla nich przystępnych i skreślonych wedle wymagań i wyobraźni własnych. Pomiędzy utworami literackiemi musiały się przeto znajdować i takie, któreby odpowiedziały w zupełności tem wymaganiom.

Ażeby stworzyć taką literaturę trzeba było koniecznie zapoznać się autorowi z właściwym sposobem myślenia ludu, który niezawodnie stwarza świat zupełnie odrębny, niezawisły, a przedewszystkiem świat jędrny i zdrowy. Zwłaszcza lud czeski miłujący to wszystko co swojskie, co właśne, o wiele mógł być grymaśniejszym od innych, ale jak tu, tak i tam znajdujemy to dziwne, a bezwiedne przywiązywanie jakichś nadludzkich rzeczy, wszystkim niezbadanym tajemnicom natury, która pod wpływem prostej imaginacyi wieśniaka, coraz inne przybierała kształty.

Takie społeczeństwo w chwilach odrodzenia podtrzymywało czeską literaturę.

Nie trudno też było trafić do tych serc prostaczych, zwłaszcza temu kto znał ich wymagania. I wdarli się tam pisarze czescy a owładnąwszy tem sercem, prowadzili go za sobą coraz wyżej i wyżej. Zawdzięczając tym szlachetnym usiłowaniom dziś lud czeski nie jest już tym dawnym ludem. W miarę wzrostu oświaty, wzrosły i wymagania, a chociaż ogólne cechy życia się nie zmieniły i w niczem nie różnią się od życia mieszczańskiego, to jednak ten sam wieśniak, który wpierw czytał i zadawalniał się „Pragskim dziennikiem”, dziś zwrócił się do poważnych pism i z równąż uwagą „studyuje” „Narodni listy” i „Pokrok” (organ Riegra) a nawet czyta z uwagą wszystkie artykuły drukowane w „Oswiete” najpoważniejszym piśmie czeskim (miesięczniku).

Jest więc najlepszym dowodem, że oświata, dzięki dobrej organizacyi szkół rozwinęła się dobrze i pojęcia ludu nie zaszły na bezdroża. Owszem lud ten dojrzał, wzrosł i spotężniał, a co więcej przywiązał się silniej jeszcze do swojej ojczyzny, nie przestał być ludem i jak dawniej tak teraz, kocha on swoją wioskę, swoje pola i ziemię chociaż na wskroś jest postępowym.

Dziś więc tak jak dawniej interesują go jeszcze owe dawne podania i przepowiednie, które coraz innej nabierają formy, a jednak zawsze żyją w jego wyobraźni.

Ażeby lepiej i gruntowniej ocenić ten pierwiastek, musimy rozejrzeć się w tej literaturze legendowej, która ma główne znaczenie i odgrywa w całem tem wiejskiem życiu niepoślednią rolę.

Klechda lub podanie przechodząc z ust do ust staje się wreszcie własnością pewnej wsi lub nawet całej okolicy. Więcej wykształceni wieśniacy lubują się w niej jako w przyjemnej i uprzytomniającej im ich młodość bajce, inni pokładają w niej wiarę, aż wreszcie wyrasta w ustach zabobonnych na jakąś niezwalczoną potęgę, której się słucha ze zgrozą i przerażeniem.

Trudnoby szukać tu źródła tej klechdy, mówiąc jednak o literaturze odrodzenia, niepodobieństwo jej pominąć, gdyż nie poślednią tutaj odgrywa rolę.

W Czechach od niedawna także zwrócono na nią uwagę i rozpoczęto staranne pracę około zebrania tych błąkających się po ciemnych zakątkach utworów ducha prostaczego.

(D. c. n.)

Powróć Duchu!...

DO...

Natura dawno ze snu się zbudziła,
W szacie zieleni, znowu strojna w kwiaty,
Lecz gdzieżeś znikła piosnko moja miła,
Gdzieżeś uleciał duchu mój skrzydlaty?

Gdzie dawna wiara, dawna ufność w siebie?
Dawne nadzieje, dawnych marzeń wątek?
I gwiazdka moja zgasła już na niebie;
Myśl tylko błądzi w krainie pamiątek!

Lecz co minęło, nigdy nie powróci!...
Darmo duch smętny w przeszłości się grzebie,
Bo co raz zmarło, już się nie ocuci...
Dziś chcę zapomnieć — złote sny... i ciebie!

* * *

Więc powróć do mnie, duchu mój skrzydlaty,
I bądźmy braćmi... jak niegdyś... przed laty!...

Kazimierz Lechnicki.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Ani Zbigniew, ani Walentyna nic nie wiedzieli o operacyach finansowych, jakie p. Smirska przeprowadziła dla wydobycia pięknej fortuny swej wychowanki z zupełnego niemal zatracenia. Wiedzieli, że majątek jaki już posiadała podwoiła prawie, ale jakim to się stało sposobem, Walentyna nad tem zupełnie się nie zastanawiała, Zbigniew przypisywał to szczególnej oszczędności i wybornym zdolnościom administracyjnym ciotki a bliżsi znajomi dziedzictwu po mężu otrzymanemu.

Mała tylko liczba osób, znała rzeczywiste położenie, a dla nich rzecz ta zupełnie była obojętną. Rozprawiano o tem jako o skandaliku arystokratycznym, powiadano że p. Smirska jedynie tylko przez chciwość wyszła za zmarłego Smirskiego, starca schorzałego i zużytego zupełnie, że mu się sama niemal narzuciła, ale na tem wszystko się kończyło.

O ułożonem małżeństwie pomiędzy swemi wychowańcami, nie wspomniała również nigdy ani jednego słowa, była to wyłącznie jej tajemnica. Podobnież trzymała w największym sekrecie, przeznaczenie wydobytego majątku na posag dla Walentyny, bo lękała się rozgłosu a z nim powiększenia trudności doprowadzenia planu swego do skutku, gdyby dowiedziano się, że panna jest bardzo posażną.

Walentynę też uważano powszechnie tylko za zostającą na łasce swej zamożnej stryjenki, przypuszczano, że w testamencie zapis ją nie minie, ale znając p. Smirskiej przywiązanie do rodzonego siostrzeńca, do zapisu tego zbyt poważnego znaczenia nie przywiązywano.

Kiedy Zbigniew rozstał się z paniami spiesząc na zebranie swoich przyjaciół, ubierając się mimowoli zaczął się zastanawiać nad swojem położeniem co do Walentyny.

— Jest w tem coś — myślał sobie. — Ciotka wyraźnie ciągnie mnie do pupilki, a pupilka dziś tak mi się ogniście przyglądała, że aż czułam dreszcze patrząc na tę kościstą mumię jak mnie dręczyła badaniem. Czyżby się we mnie zakochała? Być może! Takie dziwadła nie zalecające się ni urodą ni posagiem a z pretensyami do uczoności, są niezmiernie wrażliwe na ataki miłosnych porywów. Nieprzyzwyczajone do zalecanek najmniejszą, zwyczajną grzeczność, podnoszą do wielkiego znaczenia i same nie wiedząc jak i kiedy, giną w miłości jak mucha w ukropie. Trzeba się mieć na baczeniu, żeby panienka skrzydełek sobie nie opaliła i potem do mnie nie było żalu. Panna bez posagu, brzydka i nudna jak emetyk ze swemi uczonemi zachciankami, moją żoną? Brrum! Nie, to niepodobna! Ciotka zanadto mnie kocha! Ubóstwo i brzydota, piękna mi para dla mnie z takiem jak moje stanowiskiem, ulubieńca salonów i tak szczęśliwego szermierza w szrankach przyprawiaczy rogów.

Ród Smirskich znamienity, podobno nawet książęca mitra mu przynależy, ale Długosze przewyższają go swoją starożytnością, a nadto rozum ciotki wzbogacił go w mienie, przy którem Smirscy z koroną swą książęcą są niczem. Jam ostatni z rodu Długoszów i jak ciotka powiada mam go podnieść i przywrócić dawną świetność. Nie zawiodę jej oczekiwania ale to pewna, że nie przy pomocy Walentyny!

W tak wyrobionem pojęciu o stosunku swem do Walentyny, Zbigniew starał się zastosować i swoje z nią postępowanie. W rozmowach nie taił wstrętu do wszelkich jej wycieczek w kwestyach poważniejszego zakroju, wyśmiewał je, wyszydzał, dziwił się, że mogą zajmować tak młodą panienkę a jeżeli czasem zmuszony był dać jakieś objaśnienie w rzeczach jeszcze nieznanych Walentynie, sam mało z niemi obeznany, dawał je niezmiernie pobieżnie, przepływał po nich jak ptak w powietrzu, przystrajał potokiem słów, terminami filozoficznemi, ale z tego wszystkiego Walentyna ani jednej myśli wycisnąć nie mogła, najmniejszego choćby objaśnienia i czuła, że jak była tak pozostała nieświadomą. Stawała się też coraz mniej ożywiającą rozmowę, coraz więcej milczącą, a gdy raz weszła w szranki czystego materyalizmu i Zbigniew wszystkie uczucia ludzkie, wszystkie popędy najszlachetniejsze, podciągał pod prawidła rozwoju fizycznego, zawołała z pewnem oburzeniem:

— Ależ kuzynku, według twoich dowodzeń, to człowiek czystym jest automatem, pozbawionym własnej woli podległej rozumowi.

— Oh! wola, własna wola! — odrzekł Zbigniew z szyderstwem — toć o niej foliały napisano z czego wynikła matematyczna formuła, że zero równe zeru. Idealizm dotąd nie rozwiązał tej kwestyi i dopiero nowożytny systemat na pozytywizmie oparty, dowiódł jak na dłoni, że jak z małego nasionka wyrasta wielkie drzewo, które musi giąć gałęzie w stronę wiejącego wiatru a nie pod niego: jak każde drzewo musi okrywać się właściwym sobie owocem, jabłonka jabłkami a sosna szyszkami, tak samo i człowiek rozwija się, wyrasta, mężnieje i spełnia czyny pod wpływem sił nieznanych mu a którym musi ulegać.

— Ależ to okropne! — zawołała Walentyna z widocznym przestrachem. — W cóż się obróci zasługa, poświęcenie, pragnienie dobra ogólnego...

— W nic, kuzynko kochana, w najzupełniejsze nic! Każdy czyn ludzki ma swoją przyczynę, jest więc konieczny jako następstwo owej przyczyny bezwzględnie na niego działającej, która niczem innem także nie była, tylko skutkiem poprzedniej przyczyny. I tak bez końca aż do chwili przyjścia na świat człowieka, które także nie z jego woli powstało.

Każdy zatem czyn, który spełniamy, jako konieczny nie zasługuje ani na pochwałę, ani na naganę. Ja np. uwielbiam piękność wszędzie gdzie ją znajduję, czyż to moja zasługa, że mam gust tak szlachetny?

— Ależ piękność duszy, można w sobie wyrobić — zawołała Walentyna. — Gdyby to było przywidzeniem... aż strach pomyśléć... dodała jakby z pognębieniem, cóżby mogło bronić od rozpaczy!

— Oh! kuzynko, zanadto zagłębiasz się w kwestyach tak drażliwych i niebezpiecznych. Zostaw to hartowniejszym umysłom, którym i maczugą głowy nie rozbije. Ja się tem wszystkiem nie lubię kłopotać, wiem tylko, że dzień dzisiejszy jest moim i że należy nim tak rozporządzać, aby mi przeszedł jak najprzyjemniej, abym z największą szczerością mógł powiedzieć, żem umiał z niego skorzystać jak człowiek, który zna całą wartość życia, który biorąc puhar do ręki wie, że w nim nektar znajdzie a nie gorycz piołunu lub kwas fermentacyi.

Na tem rozmowa skończyła się, o treści jej już później Walentyna ani słówka nie wspominała, czasami nasuwała inne przedmioty, wypytywała się o dzieła polskie, o bieg literatury, o dawne jej dzieje, ale było to wszystko dla Zbigniewa ziemią zupełnie nieznaną, tyle o tem wiedział co o plamach na księżycu. Przy rozrywkach ciągłych, przy przestrzeganiu przepisów salonowej etykiety, przy wizytach i późno w noc przeciągających się babanaliach, na czytanie nie było czasu. Zajęty zawsze, ciągle się spiesząc, czas mu schodził w ciągłym gwarze zabawy, wybryków a nieraz i szaleństw posuniętych do ostateczności, że mimowoli zadawano sobie pytanie, jak można się tak mordować jedynie dlatego żeby nic nie robić?

Walentyna więc i w tych przedmiotach przestała niepokoić Zbigniewa, pomału coraz mniej mówiąc umilkła prawie zupełnie i stała się słuchaczką jedynie ale tak nieraz roztargnioną, że aż się rumieniła, gdy ją na nieświadomości tego co słucha chwytano.

Pani Smirska spostrzegłszy to, zaniepokoiła się. Nie wypytując się o powody, rzuciła domysł czy czasem nie chora? Uspokojona ucałowała ją z czułością mówiąc:

— Bogu dzięki, że jesteś zdrową a ja się tak zatrwożyłam smętnością jaka cię od pewnego czasu opanowała. Nie poddawaj się jej moje dziecko, ty ze Zbiniem stanowicie dla mnie świat cały czyż więc mogę być obojętną, gdy widzę, że jedno z was jakieś smutne i mało mówiące?

— Moja stryjenciu — odrzekła Walentyna z westchnieniem — nie zważaj na to. Nieraz sama nie wiem co się ze mną dzieje i jak mi co utkwi w głowinie, to tak nurtuje, tak dokucza, że aż się gniewam sama na siebie.

— To nie myśl o tem moje dziecko, odpychaj podobne na siebie napady. Zbinia objaśnienia...

— Oh! stryjenciu, one to właśnie najbardziej mnie kłopoczą — przerwała z żywością Walentyna — on zdaje się tyle umiéć... tyle wiedziéć... a ja tak nieświadoma zaledwie coś domyślam się z tego co do mnie mówi.

Pani Smirska spojrzała na wychowanicę, która ze spuszczoną główką z pewnem pognębieniem siedziała przy niej i po chwili milczenia rzekła:

— Na twoje zakłopotanie znajdzie się lekarstwo. Systematyczne czytanie dzieł wyborowych, dokończy twojej edukacyi, dopóki więc zajęta tem będziesz do rozmowy nie wprowadzaj kwestyi zbyt poważnych, bo jako niewtajemniczona jeszcze w ich znaczenie, mogłabyś się niekorzystnie przedstawić, a jabym tak pragnęła, aby cię wszyscy chwalili, polubili, pokochali. Zbinio dał ci to już do zrozumienia, zastosuj się do tego. Przy moim wieku i siłach starganych jedynem dla mnie szczęściem, gdy mam was przy sobie, gdy jak najczęściej cieszę się waszem towarzystwem, gdy patrzę na was jak na syna i córkę ożywionych rodzinną dla siebie przychylnością. Staraj się więc kochanko dla Zbinia być siostrą czułą, serdeczną a choćby i troszkę zalotną bo i miłość rodzinna bywa zazdrosną i chętnie przyjmuje fortele do jej zdobycia użyte.

— Dobrze stryjeneczko, spełnię chętnie twoje życzenie.

— Wędrówka moja ziemska, nie przeciągnie się już długo...

— Oh! stryjeneczko nie mów tego, zawołała z uczuciem Walentyna, składając ręce, bo serce moje taka zaraz boleść przejmuje...

I w oczach dzieweczki łzy zajaśniały, oparła głowę na ramieniu opiekunki a ta ją objęła i z miłością do siebie przytuliła.

Od tej chwili Walentyna starała się wszelkiemi sposobami spełniać życzenie swej opiekunki. W towarzystwie Zbigniewa była dość rozmowną ale i ostrożną zarazem, unikała wszystkiego co go mogło drażnić, uśmiechała się z jego zręcznie a często i dowcipnie opowiadanych ploteczek z wielkiego i małego świata, czasami posuwała się nawet do obłudy potakując pochwale p. Smirskiej, a jeżeli czasem rzuciła pytanie na które Zbigniew ni to ni owo odpowiedział, nie ponawiała go więcej zdając się tem być zupełnie zadowoloną.

Panią Smirskę cieszyła ta powolność wychowanicy, Zbigniewa gniewała, Walentynę męczyła.

W naprężonym tak stosunku, Zbigniew znudzony zniechęcił się zupełnie do Walentyna, a ta zmordowana uczuła pewien rodzaj wstrętu do niego. Nie uszło to baczności p. Smirskiej, przerażona obawą zniweczenia planu tak dawno układanego, postanowiła raz tej dręczącej niepewności koniec położyć i w rozmowie ze Zbigniewem wręcz mu oświadczyła, że Walentynę przeznaczyła mu na żonę i że wybór ten powinien przyjąć bez żadnego wahania.

Zbigniew osłupiał. Domyślał się dawno tego ale nie przypuszczał takiej ciotki stanowczości.

— Cioteczko kochana — odezwał się po chwili czując jak mu krew uderzyła do głowy—powiedz że to żart, chęć...

— Nie moje dziecko — przerwała pani Smirska — mówię zupełnie seryo. Żarty w tak ważnej kwestyi co najmniej byłyby niewłaściwe.

— Ależ Walentyna, wcale, ale to wcale mi się niepodoba.

— Bo jej nie znasz jeszcze dobrze, jak ją lepiej poznasz, zmienisz swoje zdanie. Staraj się o to.

— Czyż na to potrzeba długiego czasu, aby poznać, że jest najzupełniej niepowabną? Jedno spojrzenie aż nadto na to wystarczające.

— Mylisz się moje dziecko. Walentyna nie jest pięknością ale wdzięku kobiecego jej nie brak a ten jest zupełnie wystarczającym w małżeńskiem pożyciu. W wyborze żony czy męża nie oczy powinny przewodniczyć tylko rozum.

— Ależ oczy cioteczko trudno odłączać od rozumu — odrzekł Zbigniew i pragnąc ująć ciotkę żartobliwym zwrotem dodał — gdybym był kretem...

— Nie zapominaj Zbigniewie — przerwała pani Smirska z naciskiem — że mówimy z sobą poważnie i to w kwestyi dotyczącej całej twej przyszłości.

— Oj! źle — pomyślał Zbigniew — to widzę nie żarty.

— Walentynka — mówiła dalej p. Smirska — rodem nie ustępuje w niczem naszemu, a kto wie czy go nawet nie przewyższa. Posag jaki wniesie...

— Jakto cioteczko — przerwał ze zdumieniem Zbigniew — czyżby na nią spadła jaka niespodziewana sukcesya?

— Nie, moje dziecko, ale większa połowa mojego majątku jest już dziś jej własnością, a reszta...

— Jej własnością, a to jakim sposobem? — zapytał Zbigniew bardzo zaniepokojony.

— Najprostszym — odrzekła pani Smirska. — Mienie jej po rodzicach prawie zatracone, wyratowałam zasobem zebranym z majątku mego męża, który posagu mego zrzekł się na korzyść twego ojca. Gdybym nie została żoną pana Smirskiego majątek jego odziedziczyłaby Walentynka. Wszystko więc co posiadam Smirskich jest własnością i do nich powróci, pamiętam o tem. Wprawdzie mienie moje...

— Moja cioteczko — odezwał się Zbigniew, ale mu zaraz przerwała p. Smirska z pewną niecierpliwością:

— Nie przerywaj tylko słuchaj — rzekła głos podnosząc — nie lubię mędrkowania młodych o postanowieniach starszych, wyrobionych z długiego namysłu.

Zbigniew niemal do krwi przygryzł usta, zaklął w myśli, ale umilkł natychmiast, a pani Smirska mówiła dalej:

— Otóż mienie moje dzisiejsze, prawnie do mnie należy, ale godność moją wyżej cenię jak prawo, choć to po mojej jest stronie. Przodkowie nasi nie matactwami ani wykrętami prawnemi podnosili ród swój w znaczeniu i bogactwie tylko krzątaniem się około publicznego dobra i poświęcaniem życia i mienia w domowych zapasach z ościennem barbarzyństwem. Dziś bogactwo ich strawione, pozostało tylko dziedzictwo zasług, które jak relikwia powinno być przez nas szanowane. Przywrócenie mu dawnego blasku, twoim jest obowiązkiem. Małżeństwo z Walentyną ułatwi to, majątek mój cały z czasem stanie się waszą własnością, Smirscy nic na tem nie ucierpią, dwa rody ginące złączą się z sobą, a połączone nazwiska w twojej osobie: Długosz-Smirski, wzniosą je na dawne stanowisko. Walentyna jest taką jakiej tylko życzyć sobie mogę dla ciebie na żonę. Wrażenia zmysłowe równie prędko giną jak powstają, na nich zaś opierać całą swoją przyszłość, jest to stawiać dom na ruchomym piasku, jak uczy Ewangelia. Wreszcie jesteś niezależny, z ogólnej ruiny ocalała jakaś wioseczka której wyłącznym jesteś dziedzicem, nędzy więc nie doznasz, możesz zatem zrobić tak jak ci się spodoba. Ja jednak wierną pozostanę temu com postanowiła. Możesz teraz mówić.

— Postanowienie ciotki — odezwał się Zbigniew — najzupełniej szanuję, wola jej była dla mnie zawsze wielkiej wagi, spełniałem ją bez wahania...

— Tak należało — wtrąciła p. Smirska — wola młodych podobnych tobie to jak dzielny rumak w step na wolność puszczony.

— Mimo jednak tego wszystkiego—mówił dalej Zbigniew — pozwolisz cioteczko, że zrobię małą uwagę, iż w postanowieniu twem udarowania panny Walentyny...

Pani Smirska trzymanym w ręku nożykiem kościanym, uderzyła w stół i tłumiąc uniesienie zawołała z ironią:

— Udarowania, udarowania! Czyżby w dzisiejszem pokoleniu młodych tak zamarło uczucie własnej godności, iż pojęcie prostej sprawiedliwości byłoby dla was niepodobne?

— O! nie cioteczko, wielbię twoją surową, bezwzględną sprawiedliwość, ale czasem przesada w niej staje się niesprawiedliwością.

— Jakto, nie rozumiem cię?

— A tak, cioteczko, bo i ja cenię nazwisko jakie noszę i pragnąc aby zawsze jaśniało blaskiem słusznie mu przynależnym, z pewnością nie pomyślę nawet o związku małżeńskim ujmę mu przynoszącym, ale swoboda wyboru jest tu konieczną a tej mnie prawie pozbawiasz. Przebacz cioteczko mojej śmiałości...

— Nie gniewam się — przerwała p. Smirska— ale ci co zasługami przodków wybili się nad tłum pospolity, są jako kwiaty wyhodowane ręką umiejętnego ogrodnika, który pilnie je strzeże, aby w czasie zawiązku nasion pył z podlejszych nie dostał się do ich kielichów, bo inaczej wyradzają się i karłowacieją. Arystokracya całego świata, która pomimo napadów na nią płochej, niepojmującej natury rzeczy, dziś tak ruchliwej demokracyi jest konieczną i trwać będzie wiecznie bo na niej oparty jest cały ład i porządek społeczny. Nie z przywidzenia też ale z rozumnego pojęcia potrzeby, czystość krwi w rodach znakomitych jest tak przestrzeganą, bo inaczej tak jak kwiaty wyradzają się i karłowacieją. Ty i Walentyna należycie do tych wybranych w których nie ma ani jednej kropli krwi do ich zasłużonych przodków nienależącej, a nawet książęca godność po kądzieli spływa na Walentynę. Związku któryby ci zapewnił podobne korzyści, pomijając nawet jej bogate uposażenie, nie widząc innego, dlatego wybór mój padł na nią. Przyjęciem go, uszczęśliwisz ją, siebie i mnie jako jedynie poświęcająca się przez całe życie do ratunku imienia naszego od zupełnego upadku. Wszystko coby według twych przekonań stanowiło przeszkodę, do przyjęcia mego wyboru, są to drobnostki, których całą błachość czas późniejszy wykaże, gdy burzliwość młodości zastąpi rozwaga. Stań się więc rozsądnym mojem doświadczeniem i zawierz mu zupełnie. Szlachetność rodu obowiązuje a spełnić jego wymagania nakazuje i godność nasza i dobro społeczne którego jesteśmy stróżami.

— Moja cioteczko — odezwał się po małej chwili Zbigniew, widząc że p. Smirska zajęła się przeglądaniem leżących przed nią listów — że powodowana najszczerszem do mnie przywiązaniem...

— Nie mam teraz czasu — przerwała p. Smirska — możesz odejść.

Rozprawa skończoną została. Zbigniew pojął, że z ciotką nic już nie zrobi i albo będzie musiał zerwać z nią zupełnie, albo spełnić jej wolę bezwarunkowo. Ale zerwać, było to ograniczyć się na skromnych dochodach z mienia po matce pozostałego. Wprawdzie stanowiło ono zawsze fortunę, która przy pracy mogła zapewnić dostatnie utrzymanie dla rodziny jakich tysiące znajduje się w każdej społeczności i są główną podwaliną jej dobrobytu, ale o pracy jakiejkolwiek chlebodajnej, Zbigniew nie słyszał ani jednego nigdy słowa, tylko o świetności swego rodu i przynależnem mu przewodnictwie. Pracę zaś zarobkową pozostawiano tłumom i wystawiano zawsze jako niegodną tych co nad niego wyrośli. Zerwać więc z ciotką było niepodobieństwem, spełnić jej wolę, równą trudnością zwłaszcza dla Zbigniewa, który oporu w niczem znosić nie umiał.

Sam samowolny, na samowolę drugich oburzał się, przeklinał i o wszystko złe obwiniając Walentynę, doszedł wreszcie do tego, że ją znienawidził nie mogąc bez wstrętu imienia jej nawet wymówić.

Było to więc położenie prawie nie do wyjścia i czując jego okropności, szalał z namiętnością niczem nieokiełznaną.

(D. c. n.)

OSTATNI Z RODU.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

Skreślił

Władysław Kor. Zieliński.

(Dalszy ciąg.)

— Ha! nędzny! a dlaczegoż dopiero teraz o tem mi mówisz? Czyś niemógł także wysłać do Warszawy celem zasięgnięcia języka i o każdej intrydze mnie powiadamiać? Nędzny robaku, jak pył zgniotę cię pod stopami memi!

— Wola waszej miłości, zginę jak robak nędzny lecz z tem przeświadczeniem, żem panu i ojcu memu służył wiernie!

— No cóż teraz będzie? — zapytał po chwili wojewoda ochłonąwszy cośkolwiek z gniewu.

— Wasza miłość wie najlepiej co ma być i wedle tego też postąpię.

— Dobrze, wysłać mi natychmiast zaufanych do Poznania, w Szczebrzeskie, do Kurniku, do Szamotuł, gdzie chcesz i kogo chcesz. Daj ze skarbca wszystko, niech nie szczędzą, nie zubożeję jeszcze. Górka zawsze Górką zostanie. Otóż kupić głosy choćby całej korony, byle tylko nikt się nieważył popierać kandydata innego, prócz tego, którego ja wyznaczę. Zobaczymy mości Zamojski kto z nas dwóch silniejszy.

— Natychmiast uczynię co wasza miłość każe. Idę rozpisać listy, — rzekł Brzózka, zabierając się do odejścia.

— Poczekaj jeszcze, — zawołał wojewoda siadając przed kominem i dając znak Brzózce aby się doń przybliżył. — Mam ci jeszcze coś powiedzieć. Słuchaj, czy ty znasz córkę tego mieszczanina, co to za pan brat z książętami Słuckiemi żyje?

— Tego u którego wasza miłość dziś była na biesiadzie?

— No tak tego, jakże on się zowie?

— Jakób Żędzian.

— A więc, mów mi czy znasz jego córkę?

— A mnie po jakie licho znajomość z tą podwiką?

— Otóż więc, postaraj się ją poznać, z daleka, rozumiesz. W moim życiu tak ładnej dziewki nie widziałem, żadna królowa nie wyrówna jej ani pod względem gładkości liczka ani też rozumu. Poznaj ją więc, tylko ostrzegam z daleka.

Brzózka skłonił się uniżenie.

— No kiedy już wiesz o co mi chodzi to postarajże się, abym po sejmiku elekcyjnym, gdy zjadę do Szczebrzeszyna, ją tam zastał. Gwałtu nie czynić, tylko cicho, ostrożnie, bo mogłoby mi to w moich kalkulacyach zaszkodzić, rozumiesz?

— Rozumiem, lecz pozwoli wasza miłość, — rzekł Brzózka — że zrobię tu pewne pytanie?

— Mów.

— Czy wolno mi będzie na własną rękę działać, czy też może...

— Działaj tak, abym ja na nic nie był narażony, daję ci plenipotencyą z okienkiem.

— Stanie się zadosyć waszej miłości, chociaż trudny będzie to orzech do zgryzienia bo to pachnie toporem, a człowiek chciałby jeszcze coś niecoś pożyć.

— Czyż się boisz?

— Nie, niczego się nie boję, prócz tego tylko bym łaski waszej miłości nie postradał, lecz przeprowadzenie tego interesu, wymagać będzie nietylko zręczności, lecz także i...

— Wiem już o co ci idzie, — przerwał wojewoda i dobywszy z zanadrza spory woreczek naładowany złotem, rzucił głęboko kłaniającemu się Brzózce dodając:

— Oto na plastry jako basarunek.

— Wasza wielmożność nic więcej nie ma do rozkazania mi?

— Jak na teraz to nic, idź i zajmij się wysłaniem zaufanych jak ci to mówiłem! Ho, ho! nie Zamojskiemu ze mną zaczynać.

Brzózka ucałowawszy pokornie podaną sobie rękę, potajemnie wydalił się z komnaty, próg której przekroczywszy z pokornego i uniżonego służalca, zaraz zmienił się na groźnego i dumnego a wszechpotężnego rozkazodawcę, przed którym drżał dwór cały. Przyszedłszy do swego mieszkania Brzózka, przedewszystkiem z uśmiechem zadowolenia przeliczył dane mu złoto, którego widokiem nacieszywszy się, włożył do szkatułki stojącej pod jego łóżkiem. Następnie zapaliwszy dwie świece jarzące, zasiadł przy stoliku i począł wedle zlecenia wojewody rozpisywać listy.

Dzień biały zajrzał do okien mieszkania Brzózki, a w niedalekim kościele OO. Dominikanów dawno już przedzwoniono na prymaryę, gdy plenipotentaryusz wojewody Górki pisanie swe ukończył.

Właśnie co tylko listy rozpisane, jedwabiem przewiązał i pieczęcie woskowe pokładł, gdy do izby zajmowanej przez Brzózkę wsunęła się postać mizerna, chuda i wybladła o ryżych włosach i takiejże brodzie, przyodziana w długi czarny sajetowy żupan podwiązany takimże pasem i trzymająca w ręce dużą lisią czapkę, którą Brzózce do kolan się kłaniała.

Był to Eli Abrahamowicz znany w Lublinie lichwiarz a zarazem i faktor Brzózki.

— A! to ty Eli! — rzekł ujrzawszy wchodzącego — cóż mi powiesz.

— Nu, co ja mam powiedzieć? — odparł zagadnięty — ja biedny żyd chwalę Boga i dziękuję mu, że mi dał tak dobrych panów.

— Co? ty chwalisz Boga? a to od kiedy stałeś się tak nabożnym? — zapytał Brzózka spoglądając na Elego z uśmiechem szyderczym. — Czy może od czasu jak cię chorąży nadworny w Pilaszkowicach bizunem pieczętować kazał?

— Nu! co o tem gadać, — odrzekł Eli krzywiąc się na wspomnienie tak niemiłej mu przeprawy.— Ja przyszedł tutaj dowiedzieć czy wasza wielmożność nie ma jakiego zlecenia, a tu wasza wielmożność zaczyna żartować sobie z biednego żydka, który Boga tylko prosi, aby miłościwe państwo...

— No, no! — zawołał Brzózka przerywając — lepiej powiedz co tam mówią w mieście?

— Co mają mówić? Ot gadają sobie jak głupi ludzie, jeden to, drugi owo. Powiadają, że wielmożne państwo szlachta, będą sobie nowego króla obierać.

— I kogóż to nim obiorą?

— Nu kogo? Albo ja wiem kogo?

— Przecieć słyszeć musiałeś.

— Nu, ja wiele rzeczy słyszał, ot! jedni chcą mieć królem bratanka zmarłego króla, inni znowu brata cesarskiego a inni znowu powiadają, że królem zrobią królewicza szwedzkiego co to za morzem mieszka.

— A ty kogo byś chciał aby zasiadł na tronie?

— Nu! co ja mogę chcieć? Alboż dla mnie to nie wszystko jedno kto siedzi na tronie? My biedne żydki mieliśmy kiedyś swoje króle, ale teraz ich nie mamy, dziś jesteśmy tu, a jutro... no jutro, kto może to zgadnąć?

— Jutro możesz wisieć na pierwszej gałęzi! — zawołał śmiejąc się Brzózka.

— Nu i to być może, alboż żyd to człowiek? Gdyby nie wielmożne państwo to ja już dawno byłbym pod ziemią.

— Otóż właśnie, aby to nie nastąpiło i abyś nie zawisł na suchej gałęzi gdzie w Szczebrzeskim lesie, to słuchaj co ci powiem, lecz pamiętaj abyś mi pary z gęby o tem co usłyszysz nie wypuścił.

Żyd uniżenie się ukłonił a Brzózka wpatrzywszy się w niego mówił dalej:

— Ja wiem, ty dziurawa torbo, że tobie za wszystko płacić trzeba, i że dla kilku tynfów to sprzedałbyś i rodzonego ojca. Lecz mniejsza o to. Wiesz, że nasz pan wojewoda płaci sowicie i w targi się nie wdaje, lecz żąda w zamian, aby to co zleci zrobione było tak jak on chce!

Żyd znowu się ukłonił do połowy zginając chudą swoją postać.

— Otóż więc, — mówił dalej Brzózka — czy bywasz ty kiedy u tego tam mieszczanina Żędziana?

— Nu? po co ja mam bywać u niego? On z żadnym z naszych i gadać nie chce!

— No kiedy tak, to postarajże się, aby z tobą gadał! Ma on córkę Małgorzatę, trzeba więc, abyś się do niej zbliżył i wyrozumiał co i jak ona myśli we względzie pana wojewody, następnie masz jej wspomnieć tak od niechcenia, że pan wojewoda straszliwie w niej się rozmiłował i że może być szczęśliwą i bogatą jak królowa, byle tylko... no rozumiesz...

— Dlaczego nie mam rozumieć? Nu, nu, przecież to takie szczęście i taki wielki dla niej honor.

— Zapewne że honor,—odezwał się Brzózka — pamiętaj więc, że masz wóz i przewóz, albo sowitą nagrodę, albo suchą gałęź w Szczebrzeskich lasach. A wiesz, że co ja obiecam to i spełnię! Jutro rano przyjdziesz do mnie jak zwykle i powiesz coś już zrobił. Chcę bowiem wiedzieć o wszystkiem. Idź więc.

— Chciałem jeszcze waszej wielmożności coś powiedzieć.

— No cóż takiego?

— Ja tam niewiem, czy to prawda, ale mówiono mi we dworcu na Litewskim placu, że w córce tego tam Żędziana, bardzo się miłuje, dworzanin starszego księcia jegomości, ten co to się zwie Michał Powała, i że stary Żędzian chce go mieć za zięcia.

— A cóż to przeszkadza jedno drugiemu? Będzie miał i bogatą żonę i łaski pańskie w dodatku.

— No to zysk wielki, tylko... widzi wasza wielmożność... on taki gorący...

— Czyż się boisz aby ci skóry nie wygarbował?

— Aj! my do tego przyzwyczajeni, ale on gotów mnie uśmiercić.

— Ha! to staraj się, aby tego nie zrobił.

— Nu, a jak to zrobi?

— To twoja rzecz, a teraz ruszaj i rób com ci powiedział.

IV.

W głębi ulicy Złotej, prowadzącej z rynku ku ostatnim krańcom miasta od strony wschodniej, zamykając niejako tę ulicę, ukryty po za dwu piętrową kamienicą ([1]) należącą do Jana Wielopolskiego podstarościego Lubelskiego i żony jego Anny, a tworzącą róg uliczki prowadzącej do furty miejskiej zwanej bramą Śmierdzącą, wznosił się przepiękny gotycki fronton słynnego kościoła św. Stanisława, należącego do zakonu OO. Dominikanów. Kościół niedawno bo r. 1505 przez pożar zniszczony o tyle był teraz odrestaurowany, że wedle przyjętego zwyczaju i za zezwoleniem władz duchownych, w murach jego tak jak i dawniej miał się odbywać sejmik wojewódzki zwołany na dzień drugiego lutego.

Wspaniałe gotyckie wnętrze kościoła zbudowanego w trzy nawy, nosiło jeszcze na sobie ślady wielkiego zniszczenia jakie sprawił pożar, w czasie którego spłonęły także wszystkie akta, erekcya, przywileje i kroniki klasztorne. Pomimo tego dzięki zapobiegliwości ówczesnego prowincyonała i słynnego kaznodziei O. Bernarda Pegasiusa, oraz przy pomocy obfitych ofiar czynionych przez mieszczan kościół podźwignięto z gruzów, sklepienie gotyckie tylko, które z zawaleniem się jednej z wież w czasie pożaru runęło, dotąd jeszcze nie było odbudowane i zastąpiono je jedynie wiązaniami dachowemi, pozostawiając wzniesienie sklepienia na późniejsze czasy. Kościół był najobszerniejszy w całym Lublinie, a że i przypierający klasztor również rozległe miał lokalności i tu mieściły się akta Ziemskie i Grodzkie, przeto też i tutaj wszystkie sejmy i sejmiki się odbywały.

W głębi części kapłańskiej, obok wspaniałego bogato rzeźbionego wielkiego ołtarza, na prawo było dwoje drzwi, z tych jedne prowadziły do kaplicy św. Krzyża i zakrystyi, drugie zaś na korytarze klasztorne, które z dwóch stron to jest od strony kościoła i od wałów miejskich łącząc się z zabudowaniami gospodarczemi, okalały niewielki lecz starannie utrzymywany wirydarz. Po za klasztorem z okien którego przedstawiał się bardzo rozległy widok na łąki nad Bystrzyckie i bory Kaleńskie, na stoku góry na której kościół się wznosił, aż po wały i mury miejskie ciągnące się od bramy Śmierdzącej począwszy, najprzód w dół góry a następnie po pod takowąż ku wschodowi do furtki Rzeźniczej znajdującej się na stoku góry tuż za folwarkiem Mężykowskim ([2]) ciągnęły się w tyłach kościoła i klasztoru ogrody należące do OO. Dominikanów, a po za temi ogrodami i murami miejskiemi tuż po nad łąkami wiła się ścieżka prowadząca od bramy Grodzkiej to jest od wschodu na południe ku Żmijgrodowi.

Otóż do tego to kościoła w dniu ośmnastego lutego, jak tylko na wotywę odzwoniono, licznie przybyła szlachta na sejmik do Lublina zwołany, gromadzić się poczęła, zapełniając świątynię pańską we wszystkich jej zakątkach a nawet tłocząc się na dolnych korytarzach klasztoru.

Z przybyciem wojewody Lubelskiego, Piotra Jędrzeja Czernego kasztelana Lubelskiego, oraz innych urzędników województwa, ksiądz Stanisław Tarło owoczesny archidiakon Lubelski rozpoczął przed wielkim ołtarzem solenną wotywę, po ukończeniu której na jedną z ambon wszedł O. Bernard Pegasiuse i wygłosił mowę nakłaniającą do zgody i jedności nietylko przy wyborach deputatów na sejm konwokacyjny, lecz także i przy nastąpić mającej elekcyi nowego króla.

O. Bernard przedstawiwszy wszelkie następstwa z braku jedności i zgody, z tąd wybuchnąć mogących zaburzeń i wojny domowej, zaklął zgromadzonych na zbawienie duszy aby wszelką prywatę odsunąwszy od siebie zgodnie i jednomyślnie dla dobra ojczyzny działali. Po tej świetnej przemowie ks. archidiakon zaintonował Veni creator, poczem w licznej asyście duchowieństwa i dygnitarzy koronnych i wojewódzkich, puszkę z Najświętszym Sakramentem, przeniósł z ołtarza do kaplicy św. Krzyża, gdzie przez czas obrad sejmowych pozostawać miała.

W czasie gdy służba kościelna wielki ołtarz oponą zasłaniała, około stołu znajdującego się u wejścia do części kapłańskiej zasiedli wojewoda i kasztelan Lubelscy, urzędnicy Województwa i skrutatorowie. Na znak dany przez wojewodę Tarłę wśród tłumu zgromadzonego, zaległo głuche milczenie. Wojewoda w krótkich lecz dobitnych wyrazach przedstawiwszy cel otworzyć się mającego sejmiku, oraz poświęciwszy słów parę pamięci zmarłego króla wezwał, aby przystąpiono do obioru, marszałka sejmiku. Po krótkich też naradach z zadziwiającą niemal zgodnością, przewodniczącymi naradami sejmikowemi obwołano Prandotę Dzierzka z Dzierzkowic stolnika i sędziego ziemskiego Lubelskiego.

Po dopełnieniu tej niezbędnej formalności i po objęciu laski marszałkowskiej przez imci Prandotę Dzierzka, przystąpiono do uchwalenia instrukcyi dla panów posłów.

Dotąd tak wojewoda Górka jako też i jego stronnicy siedzieli cicho, dopiero teraz wojewoda Górka wystąpił z założeniem protestu przeciw wszelkim naradom i uchwałom jeżeli panowie bracia szlachta nie wyrażą w instrukcyi stanowczego żądania, aby na czas bezkrólewia kanclerz koronny i w. hetman Jan Zamojski z piastowanych urzędów był złożony. Wniosek wojewody Poznańskiego, liczni adherenci jego na czele których stali Jędrzej i Jan Zborowscy, Stanisław z Łańcuta Stadnicki, Spytek Jordan, Stanisław Żelechowski, Stanisław Radwan Uchański, Adam Trzciński z Borowa, tłumnie poparli, niepozwalając przyjść do słowa nikomu z partyi przeciwnej. Widząc na co się zanosi Marek Sobieski podówczas chorąży nadworny, człowiek wysoce poważany i szanowany przez szlachtę niemal całego województwa, a który niejednokrotnie na sejmach i sejmikach zażegnał nadciągającą burzę, przedarłszy się przez tłumy szlachty okalającej stół marszałkowski zbliżył się do szyderczo uśmiechniętego wojewody Górki i kładąc rękę na jego ramieniu, potężnym zawołał głosem, który panował po nad wrzawą roznamiętnionych adherentów wojewody:

— Zły to i niewdzięczny syn ojczyzny, który w chwili, gdy ta potrzebuje spokoju, gdy nie prywata lecz dobro ogółu być winno na myśli, wszczyna swary i mąci ogólną harmonię. Jadowita gadzina pełzająca wśród wonnych kwiatów i zapuszczająca swe żądło w rękę chcącego zerwać barwne kwiecie, żmija na poły zmarznięta i na łonie miłosiernego człowieka do życia przywrócona, kąsająca go jako nie mająca rozumu, lecz kierująca się wewnętrznemi instynktami, mniej jest winna niż człowiek stworzony na podobieństwo Boga, obdarzony rozumem i szlachetnemi uczuciami, który kierując się namiętnościami, społeczeństwo, kraj cały w bezdenną przepaść pogrąża? Czyż mamy hołdując prywacie nad ojczyzną zaśpiewać: De profundis? Czyż mamy być ową na wzburzonym morzu bez sternika nawigującą nawą? Czyż mamy iść wszyscy za głosem jednostki stawiającej własne widoki nad wszystko i mamy dopomagać do zburzenia porządku społecznego, dlatego że ten lub ów w zaślepieniu swej dumy nadmiernej sam chciałby wszystko posiąść i być wtedy może gorszym gnębicielem od najgorszego Heroda? Występujesz mości wojewodo z twoimi adherentami przeciw wielkiemu kanclerzowi, twierdząc że rządzi się bezprawiami, twierdząc, że Jan Zamojski ani jako hetman, ani też jako kanclerz dla miłej ojczyzny nic dobrego nie zdziałał, że dąży do zniweczenia praw i przywilei nam przysługujących, że zdeptał równość szlachecką, oddając pod miecz katowski tych, którzy prawu urągali. Lecz zapominasz mości wojewodo wraz ze swoimi adherentami, że ten Zamojski skuteczniej krew swoją przelewał pod Połockiem, Wielkiemi Łukami i Uświatą, niż ci co go dziś chcą potępić, obedrzeć ze czci i sławy, jaką go obce nawet narody otaczają, zapominacie, że Jan Zamojski służąc wiernie ojczyźnie nie wdawał się w konszachty z wrogami, że nie nastawał na życie króla pomazańca Bożego. A jednak czynili to inni! Czyż więc głos tych ludzi ma przewyższyć rozsądek i ma stać się powodem nieszczęść kraju całego? Nie! nigdy! Czyż idąc za głosem dyktowanym prywatą, mamy wobec potomności obarczyć się słusznym zarzutem zdrajców sprawy ogólnej. Nie! nie! od tego zarzutu niech nas Bóg uchowa, i dlatego też wszem wobec i każdemu z osobna waszmość panowie bracia oświadczam wolumiter, że do wniosku uczynionego przez jegomość imci pana wojewodę Poznańskiego nie tylko się nie przychylam lecz nadto najuroczyściej protestując każdego ktoby za tym wnioskiem głosował, zdrajcą ojczyzny ogłaszam.

— Mości chorąży! — zawołał Górka zrywając się z siedzenia — zanadto dufasz w mir posiadany między ichmością bracią szlachtą, śmiąc ubliżać mi tak obelżywemi wyrazy.

— Od tego com powiedział, — odparł Marek Sobieski z najwyższym spokojem, nieodstąpię i powtarzam kto prywatę wyżej nad dobro ojczyzny stawia tego ogłaszam: Zdrajcą!

(*D. c. n.*)

Spóźniona ofiara.

Gdy uklęknę wzruszona pod Twym krzyżem Chryste
I wzrok duszy zatopię w Twej bolesnej męce,
W jednej chwili zachwytu wtedy Ci poświęcę
Myśli moje stęsknione i pragnienia czyste.

Lecz choćbym skarby duszy wyczerpała do dna
I serca mego wszystkie wytężyła władze,
W cichem skupieniu ducha i świętej rozwadze,
Uznam, że ta ofiara jest Ciebie niegodna!

Bo dziś, choć u stóp Twoich złożyć się ośmielę
Całą moją istotę w kornej ducha cześci,
Dawne blaski uczucia już gasną w popiele,

([1]) Dziś kamienica ta oznaczona jest numerem pol. 51 a num. hip. 38.

([2]) Folwark ten znajdował się między kamienicami dziś istniejącemi pod num. 105 i 110, a mianowicie tuż obok kamienicy oznaczonej num. 110 i należącej wtedy do wikarych kolegiaty.

Serce bliźnim rzucone zginęło bez wieści,
Więc zanucę w mym smutku piosenkę tej treści:
Bogu dałam zamało, a ludziom... zawiele!...

Emilia.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ksiądz Z. Ch. (ełmicki). Nasi nowi biskupi. Warszawa 1883 r. z portretami.

Jedenaście zwięźle nakreślonych życiorysów świeżo mianowanych arcybiskupów i biskupów ozdobionych portretami tychże stanowi treść powyższej broszurki. Życiorysy wraz z krótkim wstępem objaśniającym przyczyny tego wydawnictwa nakreślone są bardzo sympatycznie i dają dokładne pojęcie o dotychczasowych pracach nowomianowanych dostojników kościoła.

Hignet Emil. O hodowaniu jedwabników dzikich. Warszawa 1883 r. z dodaniem próbki jedwabiu surowego. Cena kop. 5.

Z broszury tej nakreślonej przez „jednego z ostatnich wiernych jedwabnictwu w Polsce" jak to pisze o sobie sam autor, dowiadujemy się wiele ciekawych i zachęcających szczegółów dotyczących hodowli jedwabników dzikich nie potrzebujących ani morw ani szczególnej opieki a jak to próby dokonane w Sielcach pod Warszawą stwierdziły łatwo aklimatyzujących się w naszych lasach i dających pożądany rezultat w produkcyi jedwabiu. Jedwabniki te żyją na dębie i karmią się jego liściami, a jest ich aż dwie odmiany: *Yama Maï* i *Pernyi* należące do rodzaju *Attacus*. Gdzie tylko rośnie drzewo lub krzak *jedwabniki dębowe* prosperować mogą jak najświetniej, i dadzą rezultat pożądany. Broszurkę tę opisującą hodowlę jedwabników dębowych w sposób nader przystępny a dający rękojmię zysków, bardzo gorąco polecamy dla osób zaś chcących się z autorem osobiście porozumiéć co do hodowli jedwabników i zaprowadzenia tejże u siebie podajemy adres: „*Emil Hignet* b. prof. w Marymoncie, zarządzający zakładem hodowli jedwabników w *Sielcach* pod Warszawą."

Jan Kochanowski. Dzieła. Wydanie jubileuszowe. Tom I ozdobiony portretem i podobiznami kart tytułowych dzieł. Warszawa.

Dzieła naszego księcia poetów wychodzą jak wiadomo staraniem komitetu, pod prezydencyą hrabiego Konstantego Przeździeckiego a naukowym kierunkiem pana Józefa Przyborowskiego b. profesora b. szkoły głównej. Fundusze na te wydawnictwo są składkowe. Staraniem wydawców było dać tekst o ile być może najpoprawniejszy przy zachowaniu pierwotnej pisowni. Do każdego utworu dołączony jest komentarz objaśniający język i treść. Całość obejmuje cztery tomy *in quarto*.

Do pierwszego tomu dodane są nadto melodye Mikołaja Gomułki skomponowane do psalmów Kochanowskiego. Papier użyty do tego wydawnictwa umyślnie jest wyrabiany w Jeziornie. Wydawnictwo to przedstawia się wspaniale pod każdym względem. Jedna rzecz tylko razi... pisownia przyjęta przez komitet w komentarzach i przedmowie.

To co u Lelewela jako ekscentryczność wyszydzono, owe *jich. jim* (ich, im), komitet wprowadza do dzieła uczcić mającego pamięć Jana Kochanowskiego. O podobnych nowościach ortograficznych nie śniło się ani Kopczyńskiemu ani też delegacyi b. Towarzystwa przyjaciół nauk, a tem mniej samemu Kochanowskiemu.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Doktor August Czernicki, naczelny lekarz szpitala wojskowego w Marsylii, dawny uczeń szkoły batiniolskiej, mianowany został sekretarzem Rady lekarskiej (Conseil de santé) przy ministeryum wojny i dyrektorem statystyki lekarskiej wojska francuzkiego. Doktor Czernicki rodak nasz wysokie to stanowisko zawdzięcza osobistej swej zasłudze i wielkim zdolnościom.

*** Cała prasa włoska, z wielkiem zajęciem i współczuciem mówi o sprawie czcigodnego Kraszewskiego; wszystkie dzienniki ogłaszają odnośne telegramy i artykuły w jego obronie. Pisma illustrowane podają portrety i znakomite o nim artykuły. Najwymowniejszą i najgorliwszą jest mediolańska *Italia*. Ułożona przez Estreichera, bibliografia ulubionego naszego jubilata ma być przełożona na język włoski i ukazać się w kilku pismach. Podobno i rząd włoski żywo się zajął losem wielkiego pisarza i polecił ambasadorowi swemu w Berlinie, aby starał się o jego uwolnienie, z tej wychodząc zasady: że Kraszewski jest wielkim oficerem orderu korony włoskiej i orderu ŚŚ. Maurycego i Łazarza. Wbrew wszystkiemu co piszą dzienniki niemieckie, rząd pruski miał odpowiedziéć, że jest to wyłącznie sprawa władz saskich. Lecz w takim razie, dlaczegoż czcigodnego starca znów pomimo słabości zdrowia przewieziono do berlińskiego więzienia, a jak donosi jeden z dzienników lipskich, za udzielenie tej wiadomości pewnemu dziennikarzowi, urzędnik dreźdeńskiego sądu okręgowego, otrzymał dymisyę, jako za zdradzenie tajemnicy urzędowej.

*** Odkopano już zupełnie znaleziony w Rzymie obelisk, przy kopaniu fundamentów; zmartwychwstaniu jego obecni byli najznakomitsi uczeni, egiptologowie i archeolodzy. Gdy nareszcie monolit odsłonięto z tylo-wiekowego ukrycia, przekonano się, że jest doskonale zachowany, nawet ostrze jego nic nie ucierpiało; tylko ponieważ ów gość ze starożytnego świata, więcej może jak półtora tysiąca lat przeleżał pod ziemią, był całkiem nią oblepiony i trzeba go było z niej oskrobywać i polewać licznemi wiadrami wody, aby go obudzić z letargu i zmusić do przemówienia swemi hieroglifami. Jak czuła matka nowo narodzonemu dziecięciu, tak uczeni pochylali się nad nim w okularach lub z lornetkami w ręku. I oto co przeczytali na trzech bokach, (gdyż na czwartym leżał, a monolit taki przewrócić nie łatwo). Na pierwszym hieroglify mówią:

„Orusie, byku potężny, synu bożka Aluma, królu górnego i dolnego Egiptu, wszechwładne słońce sprawiedliwości, przez niebieskie słońce wybrane; synu słońca, Ramzesie ulubiony od Ammona króla górnego Egiptu, którego myśl jest jako myśl Ozyrysa, pana koron. Ramzes ukochany od Ammona, ukochany od Harmachisa obu widnokręgów." Podobny temu jest napis na drugim boku, a na trzecim stoi: „Orus, byk potężny, ukochany od sprawiedliwości, król górnego i dolnego Egiptu słońce wszechwładne sprawiedliwości, syn słońca, Ramzes miły Ammonowi, wzniósł tę świątynię." Obelisk ten podobny jest do mniejszego stojącego na placu Panteonu, nosi te same tarcze i wraz z nim zdobił zapewne wejście do świątyni Izydy. Obecnie złożony jest na placu kollegium rzymskiego, przed pałacem Doria, gdzie przyglądają mu się ciągle niezliczone tłumy. Senator Baracco, ogłosił w dzienniku *Il Fanfulla* list w którym proponuje, aby obelisk Ramzesa ustawić na początku nowej ulicy „Via Nationale" z napisem: „Rzym, niegdyś pan Egiptu i świata, wzbogacony pomnikami wszystkich ludów, poświęca obelisk ten, pierwszy znaleziony po oswobodzeniu swojem, królowi Wiktorowi Emanuelowi II, królowi wielkiemu, panu górnych i dolnych Włoch, jaśniejącemu chwałą jak słońce — na wieki."

P. Barracco usiłował się trzymać egipskiego stylu.

*** Czytamy w „Przeglądzie Katolickim". Od dawna już duchowieństwo królestwa Aragonii posiadało przywilej dozwalający kapłanom świeckim w dzień Zaduszny odprawiać dwie, a zakonnikom trzy Msze św. (jak w uroczystość Bożego Narodzenia) za dusze zmarłych. Na prośby królów Hiszpanii i Portugalii, papież Benedykt XIV rozciągnął przywilej odprawiania trzech Mszy św. na wszystkich bez różnicy kapłanów w tych królestwach i poddanych im krajach. W ostatnich czasach, coraz liczniejsze zanosili prośby do Stolicy św. duchowni innych narodów, o rozciągnięcie przywileju tego na cały kościół powszechny. Gdy stawały się coraz liczniejsze, Pius IX polecił kongregacyi Obrzędów zbadać tę kwestyę, a gdy liczni biskupi wznowili ją za Leona XIII, tenże oświadczył, iż przywileju tego nie udzieli pojedyńczym dyecezyom lub krajom, ale całemu kościołowi, jeźli prosić o to będzie odpowiednia liczba wiernych. Obecnie wnieśli odpowiednie prośby kilkunastu kardynałów, 80 arcybiskupów i 400 biskupów, oraz jenerałowie i przełożeni wszystkich istniejących tak w Rzymie jak w innych krajach zgromadzeń i zakonów, i dlatego „Journal de Rome" wypowiada nadzieję, że już może w roku bieżącym d. 2 listopada będzie dla dusz zmarłych świętem Bożego Narodzenia.

*** Dnia 16 lipca, odbyły się próby z nowemi 81-tonnowemi armatami, ustawionemi do obrony brzegów w Douvre, a mieszkańcy słynnego tego portowego miasta, leżącego u stóp skał, w niemałej byli obawie, aby skutkiem tak gwałtownych wstrząśnień, część ich się nie zawaliła. Około pierwszej, olbrzymi słup dymu i ognia zionął z paszczy wystawionego u wyjścia z portu „niemowlęcia Woolwichu" jak nazwano wyszłą z tego arsenału olbrzymią armatę i niebawem obił się o skały huk podobny do uderzenia piorunu. W trzy sekundy po wystrzale, pocisk ważący 17 centnarów, uderzył w wodę na odległość mili morskiej, podskakując odbił się kilkakrotnie i znikł. Działanie wystrzału zawierającego 225 funtów prochu, tylko wstrząśnienie szyb w Douvre wywołało. Drugi wystrzał, 336 funt. prochu, poniósł pocisk na odległość 4 mil morskich; od wystrzału tego rozbiła się na kawałki wielka szyba poblizkiej latarni morskiej, a w Douvre dało się uczuć jakby lekkie trzęsienie ziemi. Huk wystrzału był przerażający. Trzeci wystrzał całym ładunkiem (450 funt.) straszniejszym był jeszcze; pocisk padł do wody na odległość pół mili i kula jeszcze nie skończyła swego lotu, gdy przerażająco głośny huk, podobny do grzmotu, wstrząsnął całym Douvre. Wszystkie pozostałe na cal grube szyby latarni morskiej

i niezliczona liczba szyb w mieście popękały, a wstrząśnienie ziemi było tak silne, że w całym Douvre uczuto silne drganie. Znawcy uznali próby za bardzo zadawalniające. Gdybyż wynalazcy i uczeni raz już zaprzestali łamać sobie głowy nad wynajdywaniem coraz więcej morderczych broni i przyrządów, które tę chyba mają dobrą stronę, że w końcu wojnę uczynią niemożebną.

*** Chińczycy nie żartem zagrażają światu swoim podbojem, aby go dokonać niepotrzebują prowadzić wojny, bronią ich jest niewysłowiona wytrwałość, pracowitość, wstrzemięźliwość i solidarność. Dotąd omijają jeszcze Europę, ale napływa ich coraz więcej do Ameryki północnej i południowej, do Australii i wysp Oceanu Spokojnego, i tam wszędzie w niedługim czasie przychodzą do względnego dobrobytu, wypierają białych robotników, zajmują się handlem i różnemi spekulacyami, pokonywając nawet współzawodnictwo zmyślnych wychodźców żydowskich. Dokonywają tego dzięki swej wstrzemięźliwości, pracy i oszczędności, a nadewszystko godnej uznania solidarności. Udający się na zarobek do Ameryki chińscy robotnicy, zmuszeni są zaciągać ciężkie zobowiązania względem towarzystw przewozowych, nietylko z powodu kosztów podróży ale i odstawienia z powrotem do rodzinnej ziemi, ciał zmarłych towarzyszy. Pomimo to, że podejmują się pracy za nadzwyczaj nizką zapłatę, zwracają wkrótce owe koszta i zapewniają sobie utrzymanie niezależne od miejscowej ludności. W tym celu wszędzie, gdzie pracują, Chińczycy zakładają wspólną kasę, do której każdy składa część swego zarobku, gdy już uzbierana kwota dojdzie do pewnej wysokości, wypłaca ją się wyznaczonemu losem jednemu ze stowarzyszonych, i ten zakłada handel ryżem, stanowiącym jak wiadomo, główne pożywienie Chińczyków. Z dalszych składek wypłacanych z kolei któremuś ze stowarzyszonych, powstają nowe sklepy i handelki, łączące się następnie w poważną współkę, zaspakajającą wszelkie ich potrzeby. Żadna inna firma nie może współzawodniczyć z taką współką poprzestającą na bardzo małym zysku, a tak kolonia chińska staje się zupełnie niezależną od handlarzy miejscowych i stopniowo dochodzi do zamożności.

*** Donoszą z Rzymu, iż w prasie włoskiej niejednokrotnie już nadmieniano, o ciągłem cofaniu się morza Śródziemnego, jeźli zjawisko to nie ustanie, to Wenecya straci swe kanały i stanie się zwykłem miastem położonem na lądzie, jak Adrya będąca niegdyś wspaniałym portem, która dała nazwę otaczającemu ją morzu, a dziś jest suchym lądem otoczoną. Ten sam los czeka plac św. Marka. W średnich wiekach Piza była portem morskim, zarówno jak Ravenna, dziś o milę od morza odległą. Od roku 1804, ujście rzeki Po do morza odsunęło się o dwanaście kilometrów.

*** W nowym gmachu zakładu Credit Lyonnais wznoszącym się w Paryżu przy bulwarze włoskim, mianowicie na parterze, zaprowadzono podłogi szklanne. Podłogi takie ułożone z grubych tafli szklannych na lekkich podkładach żelaznych, są wprawdzie dość drogie, dają jednak tę korzyść, iż światło dochodzi przez nie aż do piwnic, tak dostatecznie, iż nawet w zakątkach można złatwością czytać i pisać. To dozwala wchodzić bez światła do składów i piwnic, a tem samem chronić od pożarów.

*** Jenerał amerykański Beck, zamierza odbyć do Europy podróż balonem po nad Atlantykiem. Balon jego ma być utrzymywany w powietrzu za pomocą rozgrzanego powietrza, do czego ma służyć umyślnie w tym celu umieszczona lampa naftowa. Podróż z Nowego Yorku do Europy, podjęta przy pomyślnym wietrze, według obliczeń jenerała Beck'a, trwałaby trzy do czterech dni, gdy najszybsze nawet parowce, wymagają na to 8 do 10 dni czasu. Chyżość poruszania się balonu przy średnim wietrze, wynosi 3,000 metrów na minutę; do ogrzewania powietrza w jego wnętrzu przez całą drogę, wystarczyłoby 20 galonów (około 65 kwart) nafty, którą Beck transportować ma z sobą w osobnym rezerwoarze.

*** W całej Portugalii, a szczególniej w Oporto, obchodzą z wielką uroczystością spalenie Judasza, obchód ten odbywa się w wielką sobotę. Już cały wielki tydzień upływa na nabożeństwie, postach i żałobie; milkną dzwony na wieżach kościelnych, muzyka wojskowa, nawet fortepiany. Kobiety obchodzą kościoły osłonięte czarnemi mantylami, a w wielki piątek całe miasto modli się przy grobach Zbawiciela. W wielką sobotę ma miejsce szczególniejszy obrządek. Już o wschodzie słońca, w całem mieście panuje ruch niezwykły; najbiedniejszy ulicznik poświęci ostatni grosz, aby przyjąć udział w uroczystościach publicznych. Wszędzie słychać wyraz: „Judasz!" na każdym kroku ukazuje się tysiące postaci zdrajcy Zbawiciela. Każdy dom urządza sobie Judasza naturalnej wielkości, z ogromną rudą brodą, z twarzą najdziwaczniej wykrzywioną. Spotyka się ich wszędzie, nietylko w domach, ogrodach, na ulicach, ale nawet wiszących w powietrzu na linach przeciągniętych w poprzek przez ulice, a lud biega i przypatruje się swoim Judaszom, którym niekiedy dodaje żony, dla większej uciechy. Gdy nareszcie wybije niecierpliwie oczekiwana godzina i odgłos dzwonów katedry zwiastuje uroczystość Zmartwychwstania, całe miasto wrze szalonym śmiechem, hałasem i radośnemi okrzykami. Każde wyobrażenie Judasza, ma wnętrze próżne, które napełniają prochem, który tłum zapala za pierwszem odezwaniem się dzwonów. Judasze palą się na uciechę pospólstwa, ale w skutek tej illuminacyi, w całem mieście taki swąd i dym, że osoby delikatniejszych płuc i nerwów uciekają nad brzeg morza, aby mogły odetchnąć. Trzeba kilku godzin czasu i niemałej pracy, aby przed tak uroczystem świętem, oczyścić ulice miasta.

*** Młody Amerykanin, Orwis z Chicago, wynalazł przyrząd za pomocą którego dym w maszynach, piecach i t. p. do szczętu się wypala. Nowy ten, praktyczny wynalazek, ma niebawem znaleźć zastosowanie w większych miastach, a w takich razach stałoby się zbytecznem wyprowadzanie wysokich kominów.

*** Pewien badacz mowy cyganów podaje, iż w języku tego wiecznie koczującego plemienia, Prusy mają nazwę „baro herengero temm" co znaczy dosłownie: „kraj długorękich" nie bardzo zaszczytna nazwa!

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 27 Іюля 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład **J. B.**

(Dalszy ciąg.)

XIX.

Komedja Oktawiusza Feuillet.

W parę dni później, rozpoczęły się próby z *Wieszczki.*

Nie ma nic równie zajmującego w życiu światowem, jak próby przedstawienia dramatycznego przez artystów amatorów. Po pewnym przeciągu czasu improwizowanych tych aktorów opanował *szał sceny* według przyjętego a tak trafnego wyrażenia; i niezadługo przejmują namiętności, zazdrostki, wyrachowania, miłość własną a nawet techniczne wyrażenia rzeczywistych aktorów. Pewnego razu słyszałem wielko światową damę, mówiącą na próbie do jednej z najlepszych swoich przyjaciółek: „Moja kochana, nie przeglądaj że się tak ustwicznie w zwierciadle, zwrócisz tem na siebie uwagę publiczności i *zdmuchniesz mi z przed nosa moją efektowną scenę.*”

Artyści teatru Marcilly, nie byli tak zapaleni, wpadali raczej w przeciwną ostateczność; skutkiem braku współzawodnictwa. Szczęściem nadspodziewanie znalazła się niezbędna podnieta. Na suflera zaproszono siostrę pana Désormes, panią de Barrois, wdowę po jenerale. Była to osoba sześćdziesiąt letnia, żywa, dowcipna, nieco szyderska, mówiąca prawdę wszystkiem, nie oszczędzając nikogo.

Ponieważ była bardzo otyła, ustawiono dla niej wygodny fotel tuż przed sceną, w którem zajmowała miejsce jak tylko zadzwoniono na próbę. Rozkładała książkę i kładąc okulary, wywiązywała się sumiennie ze swego zadania; a po skończonej próbie, wstawała z fotela mówiąc z uroczystą miną, nie dopuszczającą zaprzeczenia.

— Wszyscy zarówno źle gracie!

Według niej miało to być zachętą i podnietą do lepszego oddania rol. I okazało się że miała poniekąd słuszność. Nasi improwizowani aktorowie zapragnęli rozbroić powoli tę zbyt może przesadzoną surowość, to też o czwartej próbie pani de Barrois raczyła zawyrokować:

— Marylka dziś lepiej grała od innych.

Po piątej powiedziała:

— Pan de Chazé gra już daleko wprawniej.

Nazajutrz zapadł nowy wyrok.

— Pan de Cambry odegra doskonale rolę wicehrabiego de Mauléon — ale trzeba zarzucić mu, że zimny jak lód. Co do ciebie, moja ty śliczna Rajmundo, sprawiedliwość nakazuje mi przyznać, że rolę wypowiadasz dobrze, ale nie umiesz chodzić, wstawać ani siadać. Pana de Lizardière krytykować nie będę — nie ma najmniejszego pojęcia jak rolę jego oddać należy.

Jakkolwiek zarówno jak inni, Jan oswojony był poniekąd z bezceremonialną krytyką pani de Barrois, jednak poczerwieniał niezadowolniony; dotknęło go, że przed tak bezwzględnem potępieniem gry jego, wygłosiła pochwałę pana de Cambry, który drażnił go nieustannie, być może rozmyślnie.

Wicehrabia Kajetan de Cambry, którego przedstawiliśmy już Czytelnikom, był jak zawsze salonowo grzeczny; nie powiedział ani słówka niezgodnego z pańskiem i wyszukanem jego obejściem, mimo to jednak zachowanie się jego względem kobiet, nacechowane było czemś nie dającem się wysłowić, zdającem się mówić pomimo okazywanego szacunku: Nie chcę próbować!

Jan wiedział dobrze, iż kuzyn jego słynął w świecie z tego rodzaju powodzenia, i jak to widzieliśmy w jednym z jego listów, pewnego dnia, w Paryżu, pozwolił sobie naśladować go rozmawiając z Rajmundą — nie podobało mu się to jednak bardzo gdy teraz Kajetan postępował w takiż sposób. W pięknej scenie, w której pan de Cambry jako hrabia de Mauléon, powinien milcząco skłonić głowę z najgłębszym szacunkiem przed bohaterką sztuki, dołączył on do tego prawie wyraz uwielbienia, odnoszący się zarówno tak do fizycznej jak do moralnej osoby. Nie szło mu o Rajmundę, równie niemiłego doznałby wrażenia, gdyby chodziło o jaką bądź inną kobietę, którąby szanował zarówno, gdyż w takim razie żaden mężczyzna nie znosi w innym choćby cienia lekceważenia. Prócz tego dowcipny wicehrabia, ze zręcznością salonowca na każdej próbie nie pomijał sposobności zadraśnięcia Jana.

To też gdy po skończonej próbie, Jan wyszedł do ogrodu z Krystyną i Rajmundą, rzekł mocno rozdrażniony.

— Widocznie pani Barrois ma słuszność, przekonywam się że nie zdołam dobrze oddać tej roli i zamierzam się jej wyrzec.

— Nie czyń tego, kuzynie zawołała Krystyna, staraj się tylko lepiej nią przejąć i zrozumieć. Oto wiesz co, odbądźmy tu próbę, tak sami we troje. Rajmunda która powinna przejąć się duchem obu rol, czytając twoją, zbada ją lepiej.

Rajmunda wzdragała się trochę, w końcu jednak dała się nakłonić.

Jak wszystkie utwory Oktawiusza Feuillet, *Wieszczka* napisana jest odrębnym właściwym mu stylem. Uczucie nie wybucha w namiętnych zwrotach ale mimo to każdy ustęp drga namiętnością; wyrażenia są delikatne i wykwintne, lecz pod tą elegancką powierzchownością, kryją się burzliwe palące myśli. Wśród tego ogrodu róż i fiołków, nie brak tuberoz których upajająca woń odurza powoli głowę i serce.

Rajmunda miała czytać następujący ustęp z roli Jana:

„Niepojęte to wyznanie pali mi usta... Ktokolwiek jesteś — a są chwile w których obłęd mnie ogarnia gdy pragnę zbadać tę tajemnicę — ktokolwiek jesteś nie śmiem powiedzieć: kocham cię!.. tylokrotnie zprofanowałem te słowa... ale nigdy żadna kobieta nie wzbudziła we mnie tak głębokiego szacunku i niewysłowionego uwielbienia, jakiemi przejmuje mnie twoja obecność, słowa, spojrzenie... Ja nie kocham ale czczę i uwielbiam ciebie... Tak, za ten wieczór spokoju, prostoty i prawdy jaki zawdzięczam tobie... za słodkie rozrzewnienie jakie wzrok mój orzeźwiło... chciałbym oddać ci całą odzyskaną duszę moją... i gdyby to nie było samolubstwem, chciałbym... na życie całe pozostać przykutym do ciebie do stóp twoich!”

Czytając ten ustęp Rajmunda, zawahała się niejednokrotnie, zatrzymując się w niektórych miejscach dłużej niż tego wymagały podane przez autora wskazówki.

— Nie, to nie tak mówićby trzeba, rzekła.

— Masz słuszność powiedziała Krystyna; czytasz. za spokojnie, ja sprobuję.

I odczytała cały ustęp swoim miłym, łagodnie wzruszonym głosem.

— No, teraz kolej na ciebie, panie de Comminges, rzekła skończywszy.

Jan wypowiedział trudny ten ustęp; tym razem postęp był widoczny; nawet owe słowa: nie śmiem *powiedzieć: kocham cię!* powiedział daleko lepiej niż Krystyna i Rajmunda.

Takie próby powtarzały się codziennie, i po kilku dniach Jan nauczył się doskonale i oddawał swoją rolę. Przyszło do tego że po ostatniej próbie ogólnej pani de Barrois zawołała z niewymownem zadziwieniem: „A to dopiero niespodzianka! pan de Lizardière gra lepiej od was wszystkich.

Nadszedł nareszcie dzień przestawienia, i długo długo mówiono o niem w pałacach okolicznych Krewni i przyjaciele hrabiego i hrabiny de Chazé współubiegali się wzajemnie w uświetnieniu tego pamiętnego wieczoru, postanowiono illuminować pałac park i prowadzące do nich aleje. Pan Désormes sprowadził z paryża wielką liczbę latarni weneckich, rozmaitych transparentów, ognie bengalskie i fajerwerki. Zabrano się do pracy jak tylko mrok zapadł, i o dziewiątej wieczór cały pałac jaśniał bogatą illuminacyą. Festony z różnobarwnych latarni zdobiły wieżyczę i kopułę kaplicy, roztaczając strumienie światła na drzewa i murawy parku. Przybywający do pałacu zdaleka już mogli podziwiać to jakby czarodziejskie oświetlenie.

Zaproszeni tak byli liczni iż zaledwie mogli pomieścić się w wielkiej sali w której urządzono przedstawienie, jednak przy dobrej woli dało się to dokonać. Wieśniacy ustawili się w głębi sali, a piękne panie pomieszczo przed estradą, aby bogate ich stroje pokazać i dobrze wydać się mogły, a wynikłe ztąd zadowolnienie obudzić mogło pewną pobłażliwość dla aktorów. Choć co prawda na tę problematyczną i niepewną pobłażliwość nie wiele liczyć można, gdyż słusznie bardzo powiedziano że na przedstawieniach teatralnych nie ma przyjaciół. Jak aktorzy amatorowie niebawem zamieniają się w rzeczywistych, tak i zaproszeni widocznie prędko bardzo stają się prawdziwą publicznością, i zapominając powoli o pobłażliwości i grzeczności, przyklaskują temu tylko co im się rzeczywiście podoba w skutku czego między aktorami najpobłażliwszą publicznością powstaje wkrótce zacięta walka, i to właśnie wyradza na pierwszych przedstawieniach zajęcie tak palące, niekiedy nawet gwałtowne.

I nasi przedstawiciele *Wieszczki* nie uniknęli tych silnych wstrząśnień, ale wkrótce okazało się że szczęście im sprzyja. Pan de Chazé, najpierwszy występujący na scenę, pozyskał liczne oklaski dzięki naturalności gry i dobremu zrozumieniu roli. Pańskie salonowe ruchy pana de Cambry, zjednały mu od razu uznanie pięknych pań; Marylka ślicznie wyglądała w swoim kostiumie bretońskim, to też powitał

ją grzmot oklasków w którym dłonie wieśniaków najgłośniejszy wzięły udział.

Jan i Rajmunda największą staczać mieli walkę — niewidzialna i milcząca ale silna opozycya przeciwko nim głównie połączyła swe siły. Rajmunda za nadto była piękną i bogatą aby zawiść nie wytworzyła jej niechętnych; to też z upodobaniem powtarzano sobie uwagę czynioną przez sędziwą i wpływową księżnę de Sablé:

— Jakto, więc panna Désormes raczy grać dla nas komedyę! bardzo to uprzejmie z jej strony, ale i nieco za śmiało, młoda panna nie powinna tak publikować swych sentymentów i temperamentu.

Jan miał także wielu niechętnych między znajomymi i sąsiadami, zazdroszczącemi mu tak nagłego dojścia do majątku i sławy.

Oboje zrozumieli prędko to usposobienie publiczności, ale jako odznaczających się prawdziwie artystycznem usposobieniem, trudności podniecały ich do walki i zwycięztwa. Rajmunda prześlicznie odegrała scenę przy wieczerzy; pomimo roli pełnej zalotności i dowcipu umiała nacechować ją dziewiczą skromnością, to też gra jej ogólny zyskała poklask, i sama nawet księżna de Sablé zawołała głośno: Doprawdy, jest zachwycająca!

I rzeczywiście zachwycająca była panna Rajmunda, tak dalece że zapominając o słuchającej i patrzącej na nich publiczności, Jan jedną ją tylko widział i słyszał i porwany położeniem, ów ustęp swej roli który tak źle wypowiadał dotąd, odegrał teraz z tak głębokim wzruszeniem i tłumioną namiętnością, iż nawet nieżyczliwi słuchając go zapomnieli o swej niechęci, i sala zatrzęsła się od oklasków. Przy końcu zgodnie ze wskazaniem autora, oparł płonące czoło na ręce młodej dziewczyny; gdy podniósł głowę wśród szalonych oklasków, spojrzenia ich spotkały się z sobą, zdało mu się że wszystka krew jego uderzyła do serca... i w tejże chwili zabłysła podwójna iskra, ów tajemniczy promień który raz jeden tylko na tym świecie przechodzi z duszy w duszę.

Z końcem przedstawienia, i autor i aktorowie mogli pochlubić się świetnem powodzeniem. Lecz jeżli autorem sztuki był pan Oktawiusz Feuillet, Krystyna była autorką wieczoru i sztuki nieznanej publiczności. Siedząc w pierwszym rzędzie i nie spuszczając oka z Jana i Rajmundy, pochwyciła w przelocie te nagłe zamienione przez nich spojrzenia, i gdy schodzili ze sceny zbliżyli się do niej pytając czy jest zadowolnioną z ich gry, odpowiedziała z pełnym szczerości uśmiechem:

— Tak, moje dzieci, zupełnie jestem z was zadowolniona.

Zaproszeni rozbiegli się po salonach, poczem wyszedłszy na peron i taras pałacowy przyglądali się pięknym fajerwerkom. Po nich nastały tańce i wieczerza i tak zeszło do rana; gdy goście zaczęli się rozjeżdżać, słońce już blakiem swoim złociło pagórki — wioska budziła się do życia.

Na prośbę hrabiny, pan Desormes zostawił u niej Rajmundę, aby wypoczęła po trudach przedstawienia z warunkiem jednak że w parę dni odwiezie mu ją do Bruyères, i wraz ze wszystkiemi biorącymi udział w przedstawieniu *Wieszczki,* cały dzień zabawią się u niego — na co zgodzono się chętnie.

Pomimo swej niezwykłej siły, hrabia de Chazé czuł się nieco zmęczony, chcąc wypocząć udzielił i innym tej ojcowskiej rady, aby poszli przespać się trochę przed śniadaniem.

Jan przed udaniem się do swego pawilonu, błąkał się po salonach wielkiego pałacu, wzorem jenerałów lubiących zwiedzać pole bitwy na którem świetne odnieśli zwycięztwo; przeszedłszy szereg pokoi, zaszedł na drugie piętro gdzie znajdowała się kaplica. Drzwi jej były na wpół otwarte, wsunął się po cichu i stanął na progu, spostrzegłszy Rajmundę modlącą się przed ołtarzem z pochyloną głową, klęcząc na klęczniku prababek hrabiny. Postąpił cicho pare kroków, powstrzymując oddech, aby nie przeszkodzić jej w modlitwie; i uklęknąwszy wpatrywał się już to w umieszczony w ołtarzu obraz Najświętszej Dziewicy, już to w dziewicę ziemiankę modlącą się w ciszy do Pocieszycielki kochających smutnych lub cierpiących — po chwili wstał i oddalił się cicho, tłumiąc odgłos kroków.

Czy go Rajmunda spostrzegła, lub dosłyszała szelest kroków? — odpowiedzieć nie umiem.

XX.

Monolog miłosny i rozprawa polityczna.

Możnaby podzielić zakochanych na dwa rodzaje: lubiących się zwierzać i zamkniętych w sobie. Pierwsi nie umieją nic ukryć i utaić; pragnęliby świat cały mieć powiernikiem, i tak paradują i popisują się swemi uczuciami, jak tambormażor swym pióropuszem. Drudzy kryją wstydliwie swe myśli i marzenia, nie zwierzając ich najlepszemu nawet przyjacielowi.

Jan de Lizardière należał do drugich. Daremnie Krystyna pragnęła skłonić go do zwierzeń z całą zręcznością kobiecą i życzliwością krewnej, cofał się z przerażeniem przed przyznaniem się do uczuć których zapierał się sam przed sobą. Zdradzało go pobladłe czoło i ten jakiś niewysłowiony niepokój, niezdolny ukryć się przed wzrokiem kobiecym.

— Kocha Rajmundę jak ona warta być kochaną, mówiła sobie hrabina, ale walczy z tem uczuciem i może długo jeszcze walczyć będzie.

I miała, słuszność Jan walczył i nie poddawał się, tem więcej, że nie oswojony z burzami namiętności, nie wiedział poczem można poznać że kochany, i w najlepszej wierze starał się zbadać, czy niepokój miotający jego sercem jest rzeczywiście miłością.

„Czyżbym kochał? mówił sobie. I za cóżbym ją kochał, mając tyle powodów nielubienia jej?.. Czyż można kochać kobietę nie będąc kochanym od niej? A zacóż ona miałaby mnie kochać?.. czyż starałem się jej podobać? Czyż dawniej nie byłem dla niej okrutnym aż prawie do impertynencyi?.. A jak na korzyść się zmieniła!.. Jeszcze sobie przypominam jej pychę i wyniosłe obejście gdy poraz pierwszy zobaczyłem ją w Lizardière!.. To Krystyna dokonała tego cudu... O! moja dobra, kochana Krzystyno, najdroższa kuzynko, a raczej najlepsza siostro, zgaduję, że uczyniłaś to dla mnie... ale tego już dokazać zapewnie nie mogłaś aby Rajmunda mnie pokochała... Nie, ona mnie nie kocha, ale czuję to że przestała mnie nienawidzić... Tak, ale nie dość przestać nienawidzieć aby chcieć poślubić... Co mnie, mnie zaślubić!.. Ona! o! nie, nie! nigdy, nigdy nie chciałbym tego... Za nadto jest bogata!.. ma więcej milionów niż ja setek tysięcy franków.., mówią że będzie mieć przeszło pięć milionów... to za wiele!..

„O! tak... powiedzianoby że jak pierwej stary mój zamek, tak następnie kupiła sobie moje nazwisko... że jej złotem odświeżam przyćmiony blask mego rodu... A i ona sama mogłaby mniemać że jestto tylko nieene wyrachowanie z mej strony... o! w takim razie możnaby umrzeć ze wstydu!.."

Tak rozmyślając Jan nie śmiał sięgnąć do głębi swej duszy, w której zakorzeniona duma rodowa, walczyła z wyłaniającą się miłością.

„A! pomyślał po chwili, więc ja pierwszy z margrabiów de Lizardière, poślubiłbym mieszczankę?... Mniejsza o mnie, ale ona cierpiałaby nad tem... od czasu do czasu pojawiałaby się pewnie jakaś dobra przyjaciółka coby jej to uczuć dała... powstawałaby odwieczna walka herbów z milionami, a Rajmunda byłaby jej ofiarą!

„Jakże szczęśliwi są ci Amerykanie nie znający podobnych przesądów... ale, niestety! jesteśmy we Francyi!.. Lecz nie trzeba znów przesadzać... przesądy te bardzo już osłabły... dziś ten jest prawdziwie znakomitym i sławnym, kto potrafił sam podnieść swoje stanowisko, taki pozyskał sobie najpiękniejszy tytuł... Pan Désormes nie jest człowiekiem pospolitym, dzięki zdolnościom jego, mógłby zostać baronem lub hrabią gdyby tego pragnął... Tak, baronem cesarstwa! powiedziałaby pani de Sablé z właściwą jej pogardliwą miną... Ale cóż mnie może obchodzić pani de Sablé i jej podobni?.. gdyby tylko Rajmunda mnie kochała... ale to nie podobna!.. Jakaż śliczna była w tym stroju wieszczki... jak słodkim jest dźwięk jej głosu od jakiegoś czasu wydaje mi się jakąś zachwycającą muzyką... a spojrzenie tchnie taką dobrocią i łagodnością.. Tak wysoko wykształcona... tyle dowcipu, taki zdrowy sąd o rzeczach... obejście tak naturalne i pełne niewysłowionego powabu!.. Ale czy rzeczywiście ją kocham?.. czyż byłaby to miłość?.. Tak się zdaje, skoro kocham ją inaczej jak Krystynę i Marylkę... Gdy sobie przypomnę że nie lubiłem blond włosów i czarnych oczu!.. jakże byłem niedorzeczny! — Tak ale niezaprzeczenie jest za bogata, gdy ja... A! są chwile w których oddałbym nietylko swój tytuł margrabiego ale wszystkie na świecie tytuły i margrabstwa, żeby nie miała tych milionów!.."

I całe dnie upływały mu wśród tego napływu i odpływu myśli, uczuć, wrażeń, obaw, nadziei i najsprzeczniejszych pragnień; był więc nieszczęśliwy, niezadowolniony z siebie, niepewny, tem więcej że Rajmunda odjechała do la Bruyéres, zająć się przygotowaniem do przyjęcia zaproszonych przez ojca gości.

W oznaczonym dniu pan i pani de Chazé, Jan i Marylka, zgodnie z zaproszeniem bogatego senatora, udali się do la Bruyéres. Jan, a nawet i Krystyna obawiali się czy pan Désormes nie zechce skorzystać z tej sposobności i urządzić nader wystawnego przyjęcia aby popisać się ogromnem swojem bogactwem. Próżna była ich obawa.

Po skromnem śniadaniu, pan Désormes zaprowadził swych gości do wzorowej fermy oraz kolonii rolnej i poprawczej, zostającej pod bezpośrednim nadzorem syna jego Raula. Kolonia ta urządzona była według planu i zasad kolonij w Mettray i w Briche w pobliżu Ryllé: wykorzeniać występek przez pożyteczną pracę. Koloniści podlegają we wszystkiem ścisłej choć nie surowej karności. Zamiast ogłupiającej i nie ludzkiej więziennej zasady osamotniania, młodzi skazańcy pracują wspólnie około roli, a jestto praca wzmacniająca i umoralniająca zarazem, i z tych dzieci niedorostków kwalifikujących się do więzień, wyrastają uczciwi rzemieślnicy, rękodzielnicy i rolnicy, a to dzięki rozumnemu, prawdziwie rodzicielskiemu kierunkowi i nadzorowi. Rozległe dobrze przewietrzane warsztaty, stodoły zapełnione woniejącem sianem, obory do których młodociany kolonista zapędza bydełko, kościołek przybrany polnemi kwiatami, dormitaż w którym zawieszono na ścianie portret pewnego kolonisty z la Briche, ozdobionego orderem za swe bohaterstwo pod Sewastopolem, wszystko to ukrzepia ciało, umysł i duszę. (*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Teodorę spotkało przyjęcie tak uprzedzające, tak pochlebne, że matka jej męża otworzyła szeroko zdumione oczy. Pani Wunderlich posadziła ją między dwiema paniami w wieku, i co chwila zwracała się do niej z jakiemś przyjaznem słówkiem, co w końcu stało się nieznośnie męczącem dla jej protegowanej, gdyż nietylko, że te jawne objawy przychylności nie sprawiały korzystnego wrażenia na innych paniach, ale czy to wiedzione duchem sprzeciwieństwa, czy też przez złośliwość podbudzoną zazdrością, przybierały coraz niechętniejszą postawę. — „Panie strzeż mnie od moich przyjaciół!" pomyślała Teodora, widząc jak ironiczne uśmieszki połączone z obrażającemi spojrzeniami, wywoływała każda pochwała zbyt gorliwej pani Wunderlich. Chcąc wyswobodzić się z tak przykrego położenia, zaczęła rozmawiać o gospodarstwie z jedną z sąsiadek, i słuchała szczegółowego opisu przyrządzania strudla, z taką uwagą jak gdyby sama oddawała się z zamiłowaniem sztuce kucharskiej.

Wkrótce rozmowa o tak zajmującym przedmiocie stała się ogólną; każda z pań rada była popisać się z jakimś nowym przepisem kuchennym, pochwalić, z jakimś nie upowszechnionym jeszcze sposobem oszczędnego prania, nie mówiąc już o wyjawianiu, przez wgląd na ogólne dobro, różnych niecmylnych sekretów, przywracania pozoru nowości materyom jedwabnym i wełnianym. Wszystko to nie było zbyt zajmującem dla Teodory; przeróżne sosy, ciasta, mydlenia i pieczenia, plątały się razem w jej głowie i odurzały zupełnie. Na domiar złego, niewyczerpana nigdy kwestya nieudolności i nierzetelności służących, dająca jej się codzień czuć tak dotkliwie, że chciałaby choć na godzinkę zapomnieć o tem, i tu ją prześladuje, z dodatkiem różnych, wcale nie zabawnych uwag i anegdotek. Znudzona do najwyższego stopnia, pochyliła się nad swą robotą nie mieszając się już do rozmowy.

Zdawało jej się że usycha i sztywnieje, a gdy jedna z jej sąsiadek wstała, a panna Finchen Wensdorf zajęła jej miejsce, zadała sobie z przestrachem pytanie, o czem z nią będzie mówić. Obawa okazała się zbyteczną, panna Wensdorf sama utrzymywała rozmowę, wypytując się „kochanej pani Gahlen" o jej domowe sprawy i zajęcia, gotowa zapewnie wesprzéć ją swą radą, gdyby ją o to proszono.

— Nie można mieć tego za złe osobie młodej, znajdującej się w nieznanej sobie miejscowości, jeźli popełni jakąś pomyłkę, lub postąpi trochę niestosownie, rzekła z wyrazem politowania!

Teodora nie życząca sobie być przedmiotem litości, starała się zwrócić rozmowę na inny przedmiot; zaczęła więc mówić o pięknej bibliotece, jaką panny Wensdorf odziedziczyły po ojcu.

— Posiadają panie tym sposobem niewyczerpane źródło przyjemności.

— O! tak, masz słuszność, moja droga, powtarzamy też sobie co dzień, że miło posiadać coś podobnego. Ojciec nasz kazał popoprawiać bardzo pięknie wszystkie książki, a podług mnie nic nie może lepiej przyozdobić salonu, jak szeregi książek z grzbietami z ponsowego lub zielonego safianu, z suto złoconymi wyciskami. Powiem ci, moja droga, że dla mnie oprawa stanowi główną wartość książki.

— Ale zapewnie pani korzysta, wspólnie z siostrą z tych skarbów? odezwała się Teodora, zdumiona tak oryginalnem ocenianiem wartości biblioteki.

— Wspólnie z siostrą? O! nie, nie lubię tego aby młode osoby czytały książki. Trzeba chronić niewinne dusze od wszelkiego niebezpieczeństwa; pod tym względem najściślejsza ostrożność jest niezbędną.

Ta troskliwość o uchronienie od niebezpieczeństwa pięćdziesięcioletniej niewinności, o mało co nie pobudziła Teodory do głośnego śmiechu, pochyliwszy się więc jeszcze więcej nad robotą, aby ukryć uśmiech wysuwający się gwałtem na jej usta, i odezwała się znów po chwili:

Odczytuje teraz *Dawida Copperfield* Karola Dickens'a, dzieła jego są wolne od wszelkiego zarzutu.

— To już rzecz gustu, moja droga, rzekła Finchen przełykając prędko spory kawałek ciastka z konfiturami. Według mnie, jeźli ktoś zadaję sobie pracę czytania, to po to aby go wprowadzono w wyższe towarzystwo nad to które widuje codzień, a Dickens przedstawia zawsze osoby z gminu. Dla mnie powieść nie może być zajmującą, jeźli bohater nie jest przynajmniej baronem, lubię aby mnie podnoszono w wysokie sfery.

Szczęściem dla Teodory rozweselonej aż do zbytku, podobną oceną literatury powieściowej, i nie mogącej już utrzymać w spokoju muskułów swej twarzy, pani Hiller siedząca naprzeciwko, zadała jej pytanie zdolne zająć jej uwagę. Szło o pewien obraz któren jedna z pań widziała niedawno w galeryi drezdeńskiej, a który jak twierdziła pani Hiller, był tylko kopią sławnego obrazu znajdującego się we Florencyi. Teodora przyznała jej słuszność.

— Co mnie jednak najwięcej uderzyło w galeryi Drezdeńskiej, odezwała ironicznie taż sama pani, to bardzo znaczna liczba kobiet, zajętych zdejmowaniem kopii. Przyznaję że mi się to nie podobało. Kobiety mają tyle zatrudnień, nie tak bijących w oczy, co prawda, ale użyteczniejszych, że nie powinnyby się oddawać zajęciom właściwym tylko dla mężczyzn.

— Dla czego ma być wzbronione kobietom zająć się czemś więcej jeszcze jak garnkami? zapytała Teodora, dotknięta tym przycinkiem wymierzonym wprost do niej; mnóstwo młodych pań i panien oddają się tej pracy dla przyjemności, lub też dla zapewnienia sobie środków utrzymania.

— Jeźli kobieta chce pracować, nie zabraknie jej do tego sposobności, choć nie stanie się zwolenniczką modnych teraz wyobr. żeń o niezależności i emancypacyi kobiet, odezwała się ostro pani Gahlen.

Teodora zarumieniła się i odpowiedziała z żywością:

— Znajduje się i teraz mnóstwo młodych panien, które dla braku odwagi lub talentu, muszą iść udeptanemi ścieżkami, doprowadzającemi je zawsze tylko do jakiegoś zależnego stanowiska. Ileż to biednych istot aby się uwolnić od upokorzeń i cierpień nieodłącznych od podobnego życia, popełniają prawdziwe szaleństwo idąc za mąż bez przywiązania! Ta której pendzel zapewnia utrzymanie, a nawet i pewne przyjemności, jest wolną od podobnej pokusy, co, podług mnie jest dla niej wielkiem szczęściem.

— Tak, tak, wiem, że teraz wpajają młodym dziewczętom podobne wyobrażenia, odpowiedziała pani Gahlen z wzrastającą cierpkością, ale pomimo to ja uważam je za pozbawione zdrowego rozsądku. Prawdziwem przeznaczeniem kobiety jest małżeństwo, i nie powinna sobie nabijać głowy niedorzecznościami zdolnemi odstraszać od niej mężczyzn; bo każdy rozsądny człowiek nie może się tem łudzić, że którakolwiek sawantka będzie dobrą gospodynią. Tak myśleli nasi dziadowie i stosowali się do tego w swem postępowaniu, a wnosząc z tego na co patrzę, dawniejsze małżeństwa były co najmniej tak szczęśliwe jak obecnie, gdy niektóre panie wolą myśléć o gwiazdach i księżycu, niż zająć się gospodarstwem i porządkiem w domu.

Nikt nie mógł nawet powątpiewać że przymówka pani Gahlen stosuje się do synowej, która też zbladła bardzo, lecz pomimo oburzenia jakiem ją przejęła ta publiczna nagana, nie zdawała się zmięszaną i zajmowała się spokojnie swą robota, nie chcąc się okazać upokorzoną parafiankom ucieszonym tem skarceniem byłej mieszkanki stolicy, które zwróciły na nią ciekawe i szydercze spojrzenia.

Róża Altman i Zofia zamieniły z sobą spojrzenie pełne żywego niezadowolnienia. Zofię przeraziło nawet tak niegrzeczne i niewłaściwe znalezienie się matki, gdyż widziała w niem ujmę dla honoru rodziny.

— Zdaję mi się kochana pani Gahlen, rzekła pani Hiller łagodnie, ale tak głośno że ją wszyscy słyszéć musieli, że nie potrzebujesz się użalać na nowoczesne pojęcia, skoro szkodliwy ich wpływ nie dosięgnął twej rodziny. Dzieciom twoim nie można nic zarzucić, a synowej mogłyby pozazdrościć wszystkie matki.

Następnie dodała wesoło, zwracając się do pani Wunderlich:

— Widzę, moja droga, że otworzyłaś już twój wyborny fortepian, może poprosisz której z pań aby nam co zagrała.

Wszyscy podziwiają pełne taktu znalezienie pan Hiller, i tak zręczne przerwanie przykrej rozmowy, Teodora zaś rzuciła pełne wdzięczności spojrzenie na tę zacną swą przyjaciółkę. Bezwątpienia muzyka tych małomiasteczkowych artystek nie może być przyjemną dla wykształconego słuchu, a jednak Teodora jest z niej zadowolnioną, gdyż, dzięki jej ma czas zapanować nad swem wzruszeniem, które pragnie ukryć przed tak nieżyczliwemi sobie osobami. Jednocześnie przyrzeka sobie w myśli zachować dla siebie swe zdania i pojęcia. Cóż zyskała chcąc zwalczyć niedorzeczny przesąd? nic prócz przykrości. Nikt nie miał odwagi poprzeć jej zdania. Może zresztą wydało się ono naganaem wszystkim tym paniom bez wyjątku i uważają jej to za złe, że odważyła się zaprzeczać temu co mówiła osoba w późnym już wieku?

— Droga pani Teodoro, zagraj nam co, prosimy cię, bardzo prosimy. A następnie zaśpiewasz także; wszak prawda?

Ta prośba wychodząca z ust młodych panienek, rozbudziła Teodorę z bolesnego zamyślenia. Wprawdzie nie była w tej chwili usposobioną do grania, ale myśl że sprawi tem przyjemność proszącym ją, i przekonana że pani Hiller chętnie słuchać będzie jej muzyki, nie dozwoliła jej odmówić. Po niej nikt już grać nie śmiał, dla tego też grała dość długo i wkońcu zapomniała, przynajmniej na chwilę o doznanej przykrości i okazywanej tak widocznie dla niej niechęci. Odeszła nakoniec od fortepianu

grono młodych wielbicielek otoczyła ją w około, a Helena usiadła przy niej, Teodora odzyskała swą zwykłą wesołość, i zaczęła opowiadać różne zabawne zdarzenia z swej podróży do Włoch.

Młode towarzystwo bawiło się teraz wybornie i śmiejąc się głośno, aż do chwili w której starsze panie powstały i zaczęły się żegnać z sobą i z państwem Wunderlich. W przedpokoju, gdy goście kładli już na siebie okrycia, można było usłyszeć następujące uwagi:

— Jakaż to śliczna osoba ta pani Teodora, mówiła jedna z panien, a tak pięknie gra i śpiewa że mogłaby zachwycić nawet aniołów, prócz tego taka wesoła, niewymuszona i dobra!

— Młoda pani Gahlen dała nam dziś nowy dowód prawdziwie opłakanego braku gruntownych zasad, ale też matka męża, nie lubiąca pod tym względem żartować, wypowiedziała jej dobrą i bardzo zasłużoną nauczkę rzekła półgłosem, tłusta i rumiana jak piwonija jejmość, do sąsiadki, która odpowiedziała na to potakującym uśmiechem.

— Pinchen, osłoń dobrze szyję chusteczką, i zasłoń się woalikiem, zawołała starsza panna Wensdorf, schodząc ze schodów.

W końcu wśród szelestu sukien, szmeru pożegnań i obietnic zobaczenia wkrótce, odezwał się ostry głos pani Felsing:

— Tak, przypominam sobie doskonale, działo się to wtenczas właśnie gdy kupiłam mój paletot z prawdziwego aksamitu.

XVII.

Coraz grubsze chmury.

Stosowanie do zwyczaju przyjętego w małych miasteczkach, wyższe towarzystwo w M... zbierało się często w Kasynie, a Fryderyk Gahlen, naśladując innych, bywał tam z żoną bardzo często. Prócz tańca zawsze pożądanego dla młodych osób, nie można tam było znaleźć żadnej innej przyjemności, gdyż brak umysłowego wykształcenia zbierających się osób, nie dopuszczał poważniejszej rozmowy.

Zresztą, zapewnie przez wzgląd na czystość obyczajów, przestrzegano tego ściśle aby panowie byli oddzieleni od pań jakby murem chińskim, to jest aby się bawili w oddzielnych pokojach. Teodora nie przywykła do podobnych zwyczajów i niedomyślająca się wcale jak groźną dla cnoty może być rozmowa z kimś z mężczyzn, najprzód uznała że podobne wieczory są nieznośnie nudne, a następnie starała się ożywić je wprowadzając kilku znanych sobie panów do salonu zajmowanego przez panie. Kuzynka jej żona kapitana von Moller, stojącego ze swą kompanią w M... dopomagała jej z całej duszy w tych usiłowaniach, przyjętych z radością przez młodych oficerów. Ale starsze panie objawiły głośno i wyraźnie swe niezadowolnienie, a pani Gahlen zaprotestowała energicznie przeciwko tak szkodliwym nowościom.

— I cóż z tego? Sądzę, że nie potrzebujemy brać za wzór ani panów oficerów, ani też ich szlachetnie urodzonych małżonek, odpowiedziała Teodorze, przedstawiającej jej, że pani von Moller nie pochwala podobnego zwyczaju i nie uważa go za właściwy.

Musimy dodać, że pani Gahlen była bardzo niezadowolniona z pokrewieństwa syna i synowej z kapitanem, i wynikającej z tego znajomości z innymi oficerami, których oskarżano w ogóle o dumę kastową i pogardzanie mieszczanami.

Teodora, dla urozmaicenia wieczorów w kasynie, podała myśl odegrania teatru amatorskiego i przedstawienia żywych obrazów. Dawniej brała często udział w podobnych zabawach, mogła pokierować występującymi w nich po raz pierwszy. Przyjęto jej pomysł z największą radością; wybrano niezwłocznie sztukę i porozdzielano role. Panowie zajęli się urządzeniem sceny w jednem z salonów, a Teodora kierująca głównie gronem tych pełnych zapału ale niedoświadczonych artystów, podjęła się najtrudniejszej roli, Helena zaś nie posiadała się z radości gdy ją uznano za najlepszą aktorkę.

Tak stały rzeczy gdy pewnego dnia Fryderyk wrócił do do domu smutny i znękany.

— Moja droga, rzekł do żony, twój pomysł co do amatorskiego teatru, nie da się urzeczywistnić gdyż nie możesz wziąć w nim udziału. Przed chwilą właśnie odebrałem list od pana Martin, w którym mię ostrzega iż będąc dyrektorem nie mam prawa pozwalać żonie aby należała do podobnych rozrywek. Nie potrzebuję mowić ile mnie to kosztuje że muszę pozbawić cię tej przyjemności, ale proszę wyrzecz się twej roli, dla zapewnienia mi spokoju. Zresztą spotkałem właśnie Helenkę, która oświadczyła mi z żalem, że matka odmówiła jej stanowczo swego zezwolenia.

Był to bardzo przykry zawód dla Teodory, i nie mogła ukryć że ma żal do pastora i pani Gahlen za ich dziwactwa i nudziarstwo. Wiedziała że bez jej rady i pomocy zabawa się nie uda, że nikt nie może podjąć się jej roli, ani też zastąpić Heleny. Nie dosyć na tem, pani Wunderlich przybiegła ją ostrzedz, że w mieście uważano za złe jej zachcianki artystyczne, i że najlepiej byłoby wyrzec ich się zupełnie. Najnędzniejsza zawiść i zazdrość, wywołana w pierwszej chwili jej pięknością i talentami, wybuchła teraz jawnie; popierana przez ludzi z ciasnym umysłem i przesiąkłych przesądami.

Obywali się dotąd bez teatru, dodała pani Wunderlich, i nie chcą aby osoba nie pochodząca z ich kółka pozwalała sobie obdarzać ich tą rozrywką. Wierz mi, moja droga, nie występuj do walki z taką głupotą bo nie odniesiesz zwycięztwa.

Teodora zasmucona, musiała oznajmić swym przyjaciołom, że ważne i niezależne od niej powody nakazują jej odmówić im nadal swego współudziału, i pomimo najsilniejszych próśb pozostała niewzruszoną, co wywołało smutne następstwa dla amatorskiego teatru. Aktorzy byli zmuszeni wyrzecz się sztuki której główne role straciły swe przedstawicielki, próbowali urządzić żywe obrazy, ale i te się nie powiodły, z powodu braku umiejętnego kierunku, a gdy nakoniec panna Wensdorf zaczęła domagać się aby jej siostrze powierzono rolę osoby młodej i poetycznej, żądanie jej wywołało ogólny śmiech i tak złośliwe żarty że o mało co nie przyszło do kłótni. Następstwem tego było, że postanowiono jednozgodnie wyrzec się zabawy, która, przy takiem zbiegu okoliczności, wywołała tylko zazdrość i nieporozumienia.

Teodora patrzyła z głębokim smutkiem na to niepowodzenie, i postanowiła z rozpaczliwą rezygnacyą, znosić nadal bez oporu śmiertelne nudy, wprawiające ją w jakiś rodzaj otrętwienia. Odtąd żyć będzie tylko w świecie swych myśli, i zajmować się tem jedynie co ją najbliżej obchodziło.

W chwili gdy to umysłowe osamotnienie stawało się dla niej trudnem do zniesienia, przybycie Henryka Turner, sprawiło na niej taki skutek jak ożywcze krople rosy na uwiędłej od skwaru słonecznego roślinie. Henryk znużony nadmiarem pracy, przyjechał do niej, rachując na to, że kilka tygodni spoczynku przywróci mu siły, Teodora zaś widziała w nim istotę żyjącą w tym uroczym świecie, w którym i ona żyła kiedyś, a obecnie została z niego wygnaną. Powitała kuzyna z taką radością, że to budziło, w podejrzliwym z natury Fryderyku, dawne podejrzenia. Ukrywał swe udręczenia, obawiając się zadać dotkliwą ranę sercu, które mu dało tyle dowodów miłości, ale gdy Henryk stał się prawie ciągłym gościem w jego domu, towarzyszem, lektorem, muzykiem jego żony, gdy słyszał ich ciągłe rozmowy o wspólnych przyjaciołach, o ubiegłych wypadkach których wspomnienie rezweselało ich lub rozrzewniało, uśpiona zazdrość przebudzała się gwałtownie, i potrzebował użyć całej siły woli aby się z nią nie zdradzić. Pomimo to milczał, wierny swemu skrytemu usposobieniu, a Teodora oddawała się swobodnie przyjemności rozmowy z człowiekiem ukształconym i posiadającym też same co ona pojęcia, nie domyślając się jak straszna burza zbierała się nad jej głową.

Młody artysta, prócz przenikliwości i bystrego umysłu, posiadał jeszcze duszę tkliwą i tak zgadzającą się z duszą Teodory, że często nie potrzebowali objawiać swych myśli aby się zrozumieć. Teodora zawsze szczera i otwarta, nie ukrywała bynajmniej jak bolesnem jest dla niej życie wśród nieprzyjaznych jej osób. Postąpiła bardzo nieroztropnie zapomniała że nie wolno nawet najlepszemu, najdoświadczeńszemu przyjacielowi, stawać między mężem i żoną, i że podobne zwierzenia pociągają za sobą prawie zawsze, jeżeli nie nieszczęścia to przynajmniej zmartwienia.

Szczęściem Henryk pamiętał o tem, i nie tylko, że nie powtórzył nigdy przed nikiem żadnej skargi Teodory, ale jeszcze starał się rozbudzić jej odwagę, i przedstawić rzeczywistą wartość tego, na co dotąd zapatrywała się z pewną pogardą.

— Wierz mi, rzekł do niej pewnego dnia, gdy mu opisywała z uniesieniem jak wielkiej, niewysłowionej doznałaby radości, gdyby mogła znaleźć się napowrót międy artystami — tylko patrzącemu zdaleka przedstawiamy się w tak ponętnych barwach. Gdybyś do nas wróciła, przekonałabyś się, że i u nas wzrok spotyka częściej rzeczy bardzo poziome niżeli gwiazdy, i że jak wszędzie, chcąc mieć zupę używamy do przyrządzania jej wody. W świecie artystycznym, zazdrość i wzajemna niechęć powszechniejsze są może niż gdzie indziej. Pomyśl o niesprawiedliwych krytykach, o tych wszystkich docinkach które matka twoja musiała znosić. Tak w tym obrazie znalazłoby się więcej cienia niż to wypowiedzieć mogę, jakkolwiek z odległości widzisz w nim samo tylko światło.

— Rozumiem, cię Henryku, chcesz mnie pocieszyć, rzekła z gorzkim uśmiechem Teodora, ale napróżno; niestety! Często przychodzi mi na myśl, że moje talenta i zdolności, przynoszą mi tylko nieszczęście, że byłoby stokroć lepiej nie mieć żadnych wznioślejszych pragnień, nie szukać dusz szlachetnych: nie ma ich tu wcale.

(*D. c. n.*)



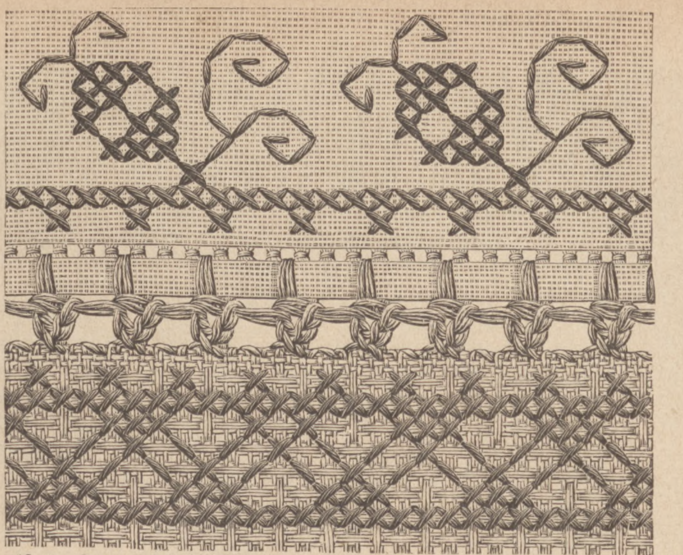
N. 1. Ubranie dla chłopczyka.

Opis do N. 32.

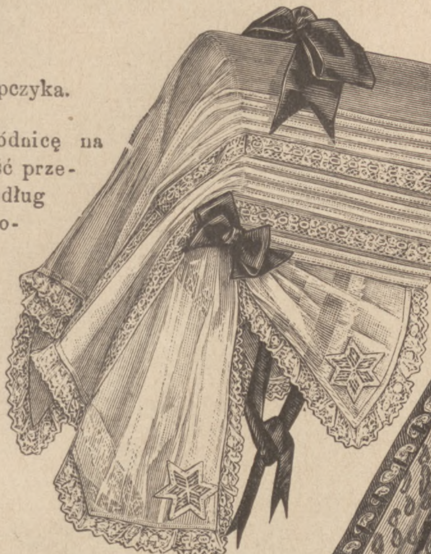
(Dalszy ciąg).

N. 15. Suknia z długą tuniką. Wskazanie kroju na arkuszu fig. 29.

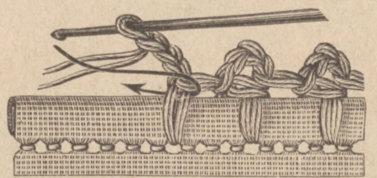
Na sukni spodniej z ponsowego szwajcarskiego perkalu, ułożona jest zwierzchnia z tiulu koronkowego koloru crême; do przybrania służą koronki 11 c. szerokie i wstążka atłasowa 6 c. szeroka, koloru ciemno ponsowego i piaskowego. Długa tunika tylko z boków odsłania spódnicę na 20 cent. wzdłuż; część przednia wymierza się podług bryta b na fig. 29 (połowa przodu) i łączy ściśle sfałdowanemi brzegami bocznemi z brytem c, który podług linii kropkowanej rozdziela się na boki, przepięte w bufy sutemi kokardami z wstążki. Tylna część tuniki u dołu prawie równa się z suknią, a w górze podpina lekko w bufę. Litera a na fig. 29 wskazuje wymiar i ufałdowanie kamizelkowego przybrania, przemarszczonego pod szyją i na wcięciu w pasie, a dalej przedłużonego w bufiaste paniers, przyszyte brzegiem stanika.



N. 3. Szlaczek i szydełkowe połączenie pasów do r. 5. Patrz r. 4.



N. 6. Helgolandka z rondem podłożonem tekturą p. r. 14. Kroj na arkuszu N. VII, fig. 27.



N. 4. Obrobienie szydełkowe obrąbka r. 3.



N. 9. Bluzka marszczona przedstawiona z lewej strony. Patrz r. 11.



N. 7. Lewa strona kapelusza r. 6.

N. 16. Ubranie dla dziewczynki.

Sukieneczkę z długim stanikiem, uszytą z ponsowego szwajcarskiego perkalu, dopasować można podług formy do ryc. 2. Na szeroki kołnierz użyty batyst écru zastębnowany w zakładki; do przybrania służą falbanki haftowane 4 i 10 cent. szerokie i kokardy z czarnej aksamitki. Długi stanik z przodu i z tyłu założony w fałdki, oszyty falbanką 9 cent. szeroką z trzema wąziutkiemi zakładkami; spódniczkę stanowi falbana plisowana, podszyta od spodu falbanką haftowaną.



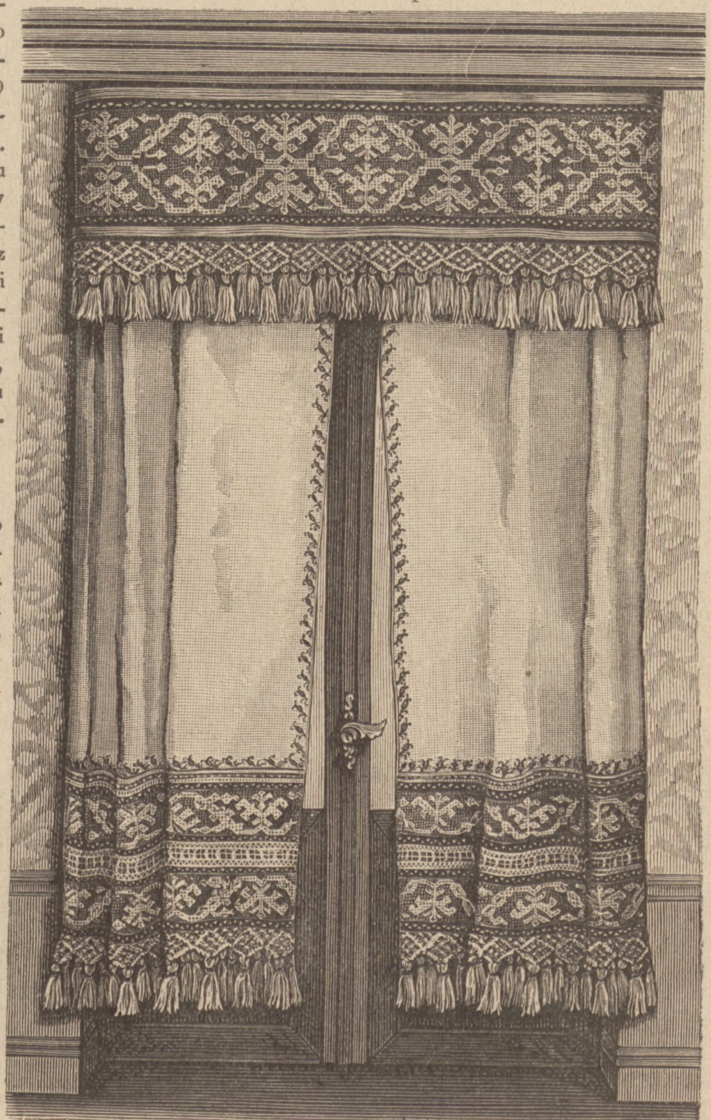
N. 10. Bluzka z fałdami Krój podług fig. 20 na arkuszu.

N. 17. Suknia z krótkiem vêtement.

Vêtement zapięte z tyłu na kryte haftki, krótko i suto sfałdowane, można dopasować podług kroju stanika do ryc. 20. Przy krótkich rękawach u stanika zachodzącego pod szyję niezbędne są długie rękawiczki ze skórki matowej lub glansowanej albo też jedwabne matowe czy ażurowe. Na spódnicy dane trzy falbany wycięte w bardzo głębokie zęby, podszyte u dołu skośną listewką i układane w kontrafałdy podług r. 17. Suknia z fularu blado różowego, gładkiego i w deseń, miała kokardy z aksamitki oliwkowej.



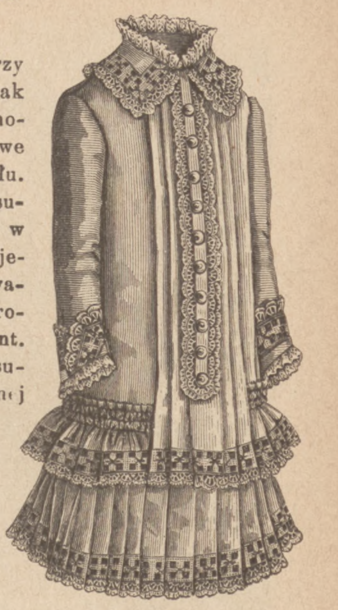
N. 12. Serwetka siatkowa z frendzlą. Patrz deseń pod N. 2 na arkuszu z krojami.



N. 5. Firanka zsuwana do okna lub drzwi na balkon. Patrz r. 3—4 i ryc. 10 w N-rze 31 tudzież desenie na arkuszu z krojami.

N. 18. Suknia ze szlakami.

Obecnie zarówno przy materyałach gładkich jak i deseniowych, bardzo modne są szlaki deseniowe dane brzegiem materyału. Ryc. 18 przedstawia suknię letnią z satynki w rzucik i ze szlakami w jednym kolorze cieniowanym. U dołu sukni drobne plisowenie 11 cent. szerokie niewiele wysunięte z pod plisowanej spódnicy, ze szlakiem 20 c. szerokim. Na draperyę krajaną w jednym ciągu potrzeba prostego bryta 290 c. długiego a 120 c. szerokiego, który upina się podług ryc. 18. Podszewkę pod bluzkę dopasować można podług formy danej przy ryc. 20; rękawy sięgające zaledwie po za łokieć mają wierzch założony w trzy fałdy przyfastrygowane wzdłuż do podszewki, po 2 i pół cent głębokie; przy ręce ogarnirowanie z koronki i kokardy aksamitne. Na głowie rodzaj oryginalnej kapotki upiętej z koronkowego szala na fasoniku petynetowym.



N. 2. Sukieneczka z fałdami dla dziewczynki lat 4—6. Krój na arkuszu N. V, fig. 21—25.



N. 8. Helgolandka z marszczonem rondkiem. Krój na arkuszu N. VI, fig. 25—26.

N. 19. Suknia z bawetowym stanikiem.

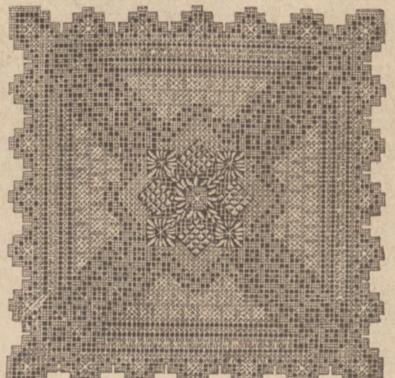
To strojne i efektowne letnie ubranie odrobione jest z fularu poziomkowego koloru, garnirowane 12 c. szeroką jaśniejszą koronką. Skośnie rzucona fartuszkowa draperya z lewego boku, dopełniona jest bufą á paniers; bryt tylny suto podpięty z jednej strony łączy się z draperyą, z drugiego boku przypięty jest pod kokardą do spódnicy zagarnirowanej koronką i falbankami. Stanik bawetowy z gładkim kamizelkowym plastronem zapięty na dwa rzędy, ma w górze bufowaną szmizetkę i kołnierz szalowy.



N. 11. Bluzka marszczona. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu N. IV, fig. 16—19a.

N. 20 i 27 tudzież r. 18 i 19 w N- 31. Suknia ze stanikiem fałdowanym. Krój na arkuszu N. I, figura 1—9.

Na ryc. 20 widzimy stanik bardzo korzystny dla osób szczupłych, gdyż ma z przodu dodane części fałdowane, przyszyte na 13 c. poniżej ramion, u góry przemarszczone, poniżej gorsu przestębnowane w zakładki a u dołu rozsunięte w bufkę. Fig. 2 wskazuje formę tych części a na ryc. 19 w N-rze 31 przedstawiany od-



N. 13. Serwetka siatkowa zakończona w zęby. Czwarta część deseniu pod N. 3 na arkuszu.



N. 14. Suknia á paniers. Patrz ryc. 30 w N-rze 31. Krój na arkuszu N. VIII, figura 28.

N. 15. Suknia z długą tuniką. Krój na arkuszu N. IX, fig. 29.

N. 16. Ubranie małej dziewczynki.

N. 17. Suknia z krótkiem vêtement.

N. 18. Suknia ze szlakami.

N. 19. Suknia z bawetowym stanikiem.

N. 20. Suknia z przypiętą tuniką i stanikiem z baskiną. Patrz r. 18 i 19 w N. 31. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—9.

N. 21. Ubranie ślubne z trenem prosto ściętym.

N. 22. Suknia z naszytemi szlakami. Patrz ryc. 31 w N. 31. Krój na arkuszu N. X, fig. 30—31.

dzielnie stanik. Dla łatwiejszego również zrozumienia upięcia draperyi daliśmy (w N. 31 na r. 18) spódnicę z tuniką odpiętą z boku, następnie zaś za pomocą dwóch haftek widocznych na r. 18, przypinają się z wierzchu na baskinie stanika z tyłu. Na spódnicy zapinanej z boku ozdobionej szlakiem 26 c. szerokim i dwoma rzędami plisowania po 5 c. szero-



N. 23. Sofa ze szlakiem w guście rzymskim. Patrz ryc. 32 i r. 8 w N. 31, tudzież deseń na fig. 32.



N. 24. Krawatka z materyi surah.

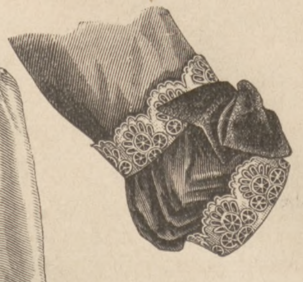
kiego, dana jest z przodu draperya (krajana podług litery *a* na zmniejszonym formacie) przypięta w ten sposób że skośny brzeg boczny zmarszczony na 9 c. szerokości do 28 cent. długości, zachodzi na lewą stronę podług ryc. 18. Brzeg boczny prosty zmarszczony do 10 cent. dochodzi z prawej strony do paska spódnicy w górze, brzeg zaś górny wcale nie przyszyty opuszcza się w luźnych fałdach. Tylny bryt *b* ma brzeg górny od spodu podszyty aksamitem, poczem składa się gwiazdką do gwiazdki i spuszcza w pukiel; u góry jest ściśle zmarszczony i przyszyty mocno poniżej paska od sukni. Lewy brzeg boczny wszyty w listewkę, przypina się na staniku podług fig. 9, za pomocą haftek widocznych na r. 18. Rękaw można ubrać podług r. 20, albo też podług r. 27 na której daliśmy wzór rękawa odpowiedniego zarowno do materyi jedwabnych jak i bawełnianych.



N. 26. Rękaw do r. 1 w N-rze 31.



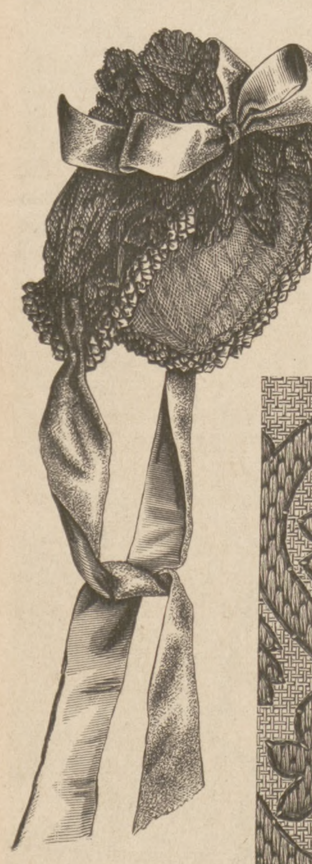
N. 28—29. Penioar z peleryną. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—15b.



N. 27. Rękaw do sukni ryc. 20.



N. 25. Żabot koronkowy.

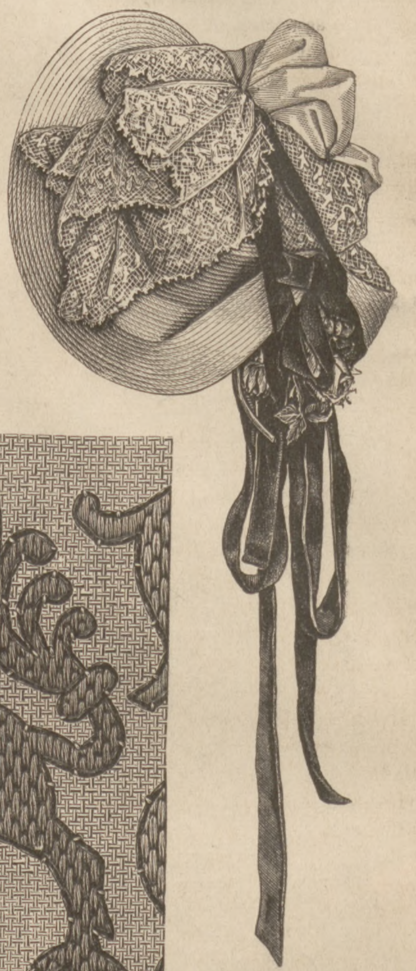


N. 30. Kapotka tiulowa.

N. 21. Ubranie ślubne z trenem prosto ściętym.

Przy sukni ślubnej kaszmirowej tren spływający w sutych fałdach, składa się, wymaga dwóch brytów po 250 cent. długich a 98 szerokich, u góry złożonych w dwie poczwórne kontrafałdy po 9 cent. szerokie a przez podpięcie w górze skróconych do 190 cent. U dołu trenu dany wolant 7 c. szeroki, składany w kontrafałdy, z brzegów bocznych 80 c. długich, zwężający się do 3 cent. Przód i boki sukni złożone w fałdy 3 cent. szerokie, dwa razy przestębnowane. Na paniers 38 cent. długie, potrzeba dwóch brytów 95 cent. długich a 75 szerokich. Stanik bawetowy zapinany z tyłu; welon illuzjowy przypięty na sutym wianku ślubnym.

(*D. n.*)



N. 31. Kapotka słomkowa.



N. 32. Szlak rzymski ściegiem gobelinowym, do ryc. 23. Patrz fig. 32.